№ 31. Piątek, dnia 30 Kwietnia 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE Tygodnik

WARSZAWA dnia 18 (30) Kwietnia 1875 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
„ „ na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; — kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA przy ulicy Bielańskiej Nr 8 nowy.

NA CMENTARZU.

WSPOMNIENIU ZMARŁEJ CÓRECZKI SWOJEJ
POŚWIĘCA
Bogumił Aspis.

(Ciąg dalszy).

VIII.

Więc z matką... kiedy wszyscy odeszli już
[sobie
Zostawiając nas samych,—weszliśmy oboje
Do pokoju, gdzie śmiercią tknięte ciałko
[twoje
Spoczywało... czekając na wieczny sen
[w grobie.
„Śpi jeszcze," wyszeptaliśmy razem... „Toż
[ciszej!
„Ostrożnie! bo się może obudzić... A chora,
„Blada taka!... Biedaczka!... Możeby dokto-
[ra?...
„Ostrożnie!... cicho!... zlęknie się jeszcze!...
[usłyszy!.."
I siedliśmy oboje,—matka drżąca cała,
Ja z ręką na mem sercu,—zaraz nieda-
[leczko,
Przy tobie, tuż opodal, moja ty dziewecz-
[ko!
I czekali—czekali... Tymczasem tyś spała...
Toż gdy po dniu już ciemność przez szyby
[zajrzała,
Przystąpiliśmy bliżej nad trumienkę małą
I zaczęli cię budzić... Ach! bo nam się zdało
Że się ockniesz za chwilę... A tyś precz—
[precz spała!
Ująłem cię za rączkę, co krzyżyk trzyma-
[ła
I zziębniętą chcąc rozgrzać o gorące ciało,
Tuliłem ją do piersi... Już mi się raz zdało,
Że rączka twa drży, dziecię!... Tyś jednakże
[spała!
Więc cię matka nareszcie porwawszy na
[rękę,
Złożyła, czule niańcząc, na swoje kolana.
I jak zwykle co wieczór, co każdego rana,
Zaczęła ci w głos śpiewać znaną ci piosen-
[kę...
Głos się szerzył... piosenka przez rzewny
[płacz drżała...
Łzy gorące skrapiały twą sukienkę białą...
Chłód wieczorny cię rzeźwił... I nam się
[wydało,
Że już — już wstajesz, dziecię!...
A tyś jednak
[spała!...

IX.

Jutro rankiem się zbudzę i będę znów cze-
[kał
Na przyjście twoje—czekał... na twój szcze-
[biot słodki,
Na twój śmiech i niewinną radość... na twe
[psotki...
Na twój gniew, gdyś podobna do strwo-
[żonej kotki,
Kryła się przed psa głosem, co bawiąc cię,
[szczekał...
Dziecino, bo ty wrócisz znów do nas nape-
[wno!
Nie zechcesz, by cię ojciec tylko wołał
[— wołał —
I szukając, odnaleźć cię nigdzie nie zdołał...
Przyjdziesz dziewko ty moja! moja ty kró-
[lewno!
Pamiętaj!—jutro zbudzi nas zorza z szkar-
[łatów!
Wiosna!—toć i fijołki—rezeda—i róże!...
Dopieroż to mi będziesz robić oczki duże,
Gdy zobaczysz blask taki! taką massę
[kwiatów!
Przyjdziesz córko!... Ach przecie ty to
[wiesz najlepiej,
Jak nam tu już bez ciebie żyć źle—ciężko
[dłużej...
Jak nam smutno!... jak wszystko męczy
[nas i nuży...
I że tylko przed bólem wspomnienie nas
[krzepi!
O! gdybyż—gdyby tak już w tym tam zim-
[nym grobie,
Obok ciebie się znaleźć—wejść w tę tam
[trumienkę—
Ułożyć się—wziąść z tobą dłoń w dłoń,
[ręka w rękę—
I zasnąć!... Lecz ach! z życiem, jak poradzić
[sobie!?..
Dobranoc ci więc!... Przyjdziesz?... Ta oto
[noc cicha
Niech owinie cię płaszczem swoim, jak
[macierza,—
I u trumny twej stając na miejsce pukle-
[rza,
Niech od ciebie złe wszelkie, jak ojciec od-
[pycha!
Dobranoc!... Blady księżyc już wstąpił na
[chmury
Strzegąc snu małych muszek, co drzemią
[na kwiatach...
Dobranoc ci!... Tam w górze na błyszczą-
[cych światach
Siedzący Pan, strzedz będzie twojego snu
[—z góry!..

(*D. c. n.*)

OGRODY WIEJSKIE.

(**E. Wk.**) Dobrze urządzony ogród, służący zarówno dla pożytku jako też przyjemności, jest rzeczą niezbędną dla mieszkańca wsi, szczególniej dla większych i mniejszych posiadaczów ziemskich. Wielu z nich wszakże zdaje się tego nie pojmować wcale, gdyż nie widzianoby tylu zaniedbanych i opuszczonych ogrodów, od których posiadacz nie wymaga nic więcej, jak tylko, żeby w nich rosła rosada buraków i kapusty. A jednakże mały chociażby ale piękny ogródek, z niewielką nawet ilością kwiatków, przyjemnie zdobi sielską siedzibę. Najzwyklejsze mieszkanko, ozdobione cokolwiek wijącemi się roślinami, przez które widnieją białe firanki w oknach, zdradza już obecność mniej lub więcej wykształconej niewiasty, lubiącej porządek i piękno; a przy tem ogródek gustownie urządzony, przed domem, lub obok niego, chociażby najmniejszy, uszlachetnia siedzibę. Ogród mówi: tu mieszkają ludzie wykształceni, którzy pojmują, że zadaniem życia jest coś więcej jak praca fizyczna, jedzenie i spanie; a obcy, co nieraz w miastach widział stokroć lepsze i wspanialsze rzeczy, staje tu i lubuje się miłym widokiem. Ogród zdobi i uszlachetnia gospodarstwo wiejskie.

W kilku wierszach sprobuję naszkicować obrazek, jakiemi ogrody takie być mogą i powinny, ażeby odpowiadały swemu celowi. Nie myślę tu wcale o zakładaniu artystycznych i zbytkownych parków, jakie utrzymuje obok swych zamków, pałaców i willi bogata arystokracya rodowa lub pieniężna, chociaż i tych u nas niezbyt wiele, ale o urządzaniu właściwych ogrodów wiejskich, w których piękne łączy się z pożytecznem. Ogrody takie nie ścieśniają wcale pięknego widoku okolicy. Pobliski lasek przecięty kilkoma wygodnemi dróżkami, z większemi placami pod cieniem drzew i widokiem na bardziej malownicze punkty okolicy; kilka dróżek i ścieżek przez łąki i między polami, dobrze utrzymanych i prowadzących do jakiegoś miłego ustronia, ocienionych drzewkami owocowemi i ozdobnemi; staw upiększony kilkoma grupami drzew, z brzegami wyrównanemi, przy którym miejsca bagniste usunięte zostały; dodawszy do tego tu i owdzie prostą ławeczkę z okrąglaków brzozowych, albo większy gładki kamień, gdzieby spocząć można, kładkę lub mostek; wszystko są to rzeczy, które nie zmniejszają głównego dochodu posiadacza, nie wymagają wielkich pieniędzy i trudu, a jednak wpływają wiele na uprzyjemnienie monotonnego życia na wsi. Posiadacz wiejski nie o sobie samym myśleć tu powinien, ale o rodzinie, która przywyka do rodzinnego gniazdeczka, o żonie co często młodość swoję spędziła wśród miasta i dla której szczęścia potrzeba także przyjemnego otoczenia jej siedliska. Jeżeli posiadłość znajduje się w wymienionych warunkach, jeżeli jest uposażona od natury i położona w przyjemnej okolicy, to po większej części radzić należy, ażeby we właściwych ogrodach ograniczyć dział ozdobny, a więcej środków i sił poświęcić na upiększenie sąsiedniego otoczenia, bo tym sposobem małemi środkami wiele osięgnąć można. Jeżeli zaś okoliczne otoczenie nie przedstawia żadnych danych do tego, wtedy ogród zastąpić musi te niedostatki i utworzyć sobie potrzeba cząsteczkę pięknej przyrody, by tym sposobem zapomnieć o monotonności okolicznej.

Mówiąc na wstępie: że ogród na wsi jest rzeczą niezbędną, mieliśmy na myśli zarówno możność rozkoszowania się pięknem jako też korzystania z właściwych pożytków otrzymywanych przez uprawę warzywa i owocu na domowe potrzeby. Urządzanie większych ogrodów, jakieby w przyjaznych warunkach, podnosiły dochody posiadłości pozostawiamy po za obrębem niniejszego opisu i wyłączamy z naszego planu. Ogród użytkowy na wsi jest potrzebnym, nawet niezbędnym, ażeby mieć warzywo i owoce na utrzymanie dość znacznego domu i czeladzi. Gospodarze nawet, którzy hołdują zasadzie, aby kupować wszelkie produkty, których nie mogą taniej wyprodukować u siebie najczęściej widzą się zmuszeni sami uprawiać warzywo, bo go i za pieniądze dostać nie mogą. Nadmiar warzywa zbywający od potrzeb domowych obrócony być może na kuchnię czeladnią, gdzie z przyjemnością widzieć będą odmianę w środkach pożywienia. A jak potrzebnem jest warzywo i owoce dla domu familijnego, to przyznać muszą nawet ci, którzy najmniej z tego sobie robią.

O potrzebie piękna w ogrodach wiejskich wiele dałoby się powiedzieć, ale my uważamy ją jako zupełnie uzasadnioną. Zamilczelibyśmy o niej całkiem, gdyby nie było wieśniaków, którzy uważają piękny ogród za niepotrzebny *luksus*. Gdyby położenie domu mieszkalnego było zawsze takie, iżby wolny widok przedstawiał się na piękną okolicę, a oknem dostawało się zawsze czyste i bezwonne powietrze, wtedy potrzeba sztucznego ogrodu stawałaby się nieco mniejszą. Ale po większej części w budowlach noszących dumne miano pałaców i dworów, mieszkanie główne leży od strony podwórza, ażeby gospodarstwo łatwiej mogło być doglądanem, kiedy od strony ogrodu mieszczą się kuchnie, pralnie i inne przedziały gospodarskie. Nawet w nowszych budowlach zwyczaj ten bywa zachowywany. Jeżeli potrzeba strzeżenia wpływa na takie urządzenie, to we wszystkich możliwych wypadkach należałoby starać się urządzać familijny pokój sypialny i letni od strony ogrodu, aby przynajmniej wzrokiem łączyć się z piękną przyrodą, unikać natarczywości much, i chociaż w sypialni oddychać czystszem powietrzem, niż to, jakie dostaje się z okólnika. Można i trzeba znosić wiele nieprzyjemności, kiedy już koniecznie tak być musi, ale dlaczego nie uwolnić się od nich gdy można. Z domu powinno być do ogrodu oddzielne wyjście, aby niepotrzeba było przechodzić przez podwórze. Gdy to jest niemożebnem, to należy przejście do ogrodu otoczyć poręczami, aby bydło nie miało przystępu i miejsce to wolnem było od ekonomicznego użytku, gdyż w takim razie często przykre dolatują zeń wonie.

Takie drobnostki nie powinny robić na wieśniaku żadnego wrażenia, powie niejeden zamiłowany w swem podwórzu gospodarz. Bardzo słusznie,—ale tylko wtedy jeżeli są nieuniknione. Najbardziej nawet zacofany mieszkaniec wsi nie może zaprzeczyć, że z grządki rezedy przyjemniejszy dochodzi go zapach aniżeli np. ze stajni lub obory.

Dodać tu należy jeden jeszcze główny powód, dla którego piękny ogród potrzebny jest koło domu. Zwykle na wsi mało chodzi się na przechadzkę po polach i łąkach, chociażby najpiękniejszych, bez pewnego celu. Mężczyzna, będąc zawsze na nogach lub na koniu, naturalnie nie czuje tej potrzeby. Prawdziwe gospodynie i ich córki (jeżeli niezostały zepsute w mieście albo przez matkę nieodpowiednio do wymagań wiejskich wychowane), nie mają czasu do odbywania dalekich przechadzek. Wtedy dla orzeźwienia się w pięknej porze roku pozostaje tylko ogród, gdzie można posiedzieć zajmując się robótką kobiecą, gdzie można spocząć w miłem otoczeniu, na świeżem powietrzu zadowolić się przeczytaniem czegoś pożytecz nego, gdzie małe dzieci bawić się mogą bezpiecznie, a pan domu po całodziennym trudzie przeczytać gazetę lub zajmującą książkę;—tam wreszcie miło pogwarzyć z przyjacielem lub sąsiadem i smacznie spożyć podwieczorek albo wieczerzę.

Aby dobroczynny wpływ pięknych ogrodów wiejskich wystawić pokaźnie w jasnem świetle należałoby przedewszystkiem wykazać niedostatki większej części obecnych tego rodzaju ogrodów. Ale przedstawienie takie nie byłoby pocieszającem ani dla czytelnika ani dla piszącego. Któż bo nie zna, z sąsiedztwa przynajmniej, tych opuszczonych ogrodów, które nader mało przynoszą pożytku a żadnej przyjemności. Grzędy warzywne zarosłe chwastami, gdzie robi się niby coś wtenczas tylko, kiedy roboty w polu i podwórzu zostaną ukończone, co rzadko się przytrafia; pracowita i lubiąca porządek pani domu albo dorosłe córki martwią i męczą się, aby dać oku jaki tak znośny widok, zielsko zagłusza corocznie jakąś część ogrodu, i przez wypadanie nasion utrwala się na następne lata. Któż nie zna dalej tych zachwaszczonych i zatłumionych ogrodów, z drzewami owocowemi różnego wieku, najczęściej rosnącemi zbyt gęsto i zbytnio rozgałęzionemi, gdzie trawniki składają się z zielska grubego, nieocieniającego gruntu i wzgardzonego na paszę; gdzie często dochodzą ścieżki z podwórza i gdzie brak nawet trawników i ławek!

Ale dosyć o tem! Wolę poprosić czytelnika aby dla odmiany wrażeń zwiedzał przyjemniejsze ogrody i w miarę sił swoich i środków przyczyniał się do wzrostu piękna i dobrego smaku w swojem otoczeniu.

U OGNISKA.

(—N—) Jednym z najważniejszych faktów spełnionych w ciągu ubiegłego tygodnia, jednym z faktów żywo interesujących inteligentny ogół mieszkańców Warszawy—jest przedstawienie na scenie wielkiego teatru pięcioaktowego dramatu pana Rapackiego p. n. *Wit Stwosz*. Darujcie więc czytelnicy waszemu kronikarzowi, że dzisiejszą z wami pogadankę rozpocznę od sprawozdania, choć pobieżnego, z przedstawienia rzeczonego dramatu, nie zaś od radosnego hymnu na cześć wiosny, która jeszcze nie nadeszła, lub od żałosnych trenów o zimnie, gradzie i wichrach, których pozbyć się nie możemy.

O *Wicie Stwoszu* wspominaliśmy już pokrótce w kolumnach naszego pisma, zanim jeszcze w drukowanej sukience puszczono go w świat obszerny, zanim wszedł pomiędzy nas i wielce gościnnego od czytającej publiczności doznał przyjęcia. Znaliśmy go wtedy z czytania w rękopiśmie i wyznajemy szczerze, iż to odczytanie wywarło na nas silne i niezatarte wrażenie—połączone z wielce miłem uczuciem wewnętrznego zadowolenia. *Wit Stwosz* nietylko nie zawiódł naszych oczekiwań, ale je owszem pod wieloma względami przewyższył. Dostrzegliśmy wprawdzie zaraz wtedy drobne usterki, do jakich zaliczamy stopniowe słabnięcie siły dramatycznej, poczynając od drugiej odsłony aktu drugiego, aż do końca aktu czwartego; dalej nadmierną i nieproporcyonalną nawet długość aktu pierwszego; zbyt mało sympatycznych rysów w głównej postaci bohatera dramatu i użycie lichwy za główną sprężynę służącą do rozwoju akcyi dramatycznej, i wreszcie zbyt słabo nakreśloną pieśń ludową podczas procesyi cechów w akcie trzecim. Pieśń ta ani formą, ani treścią, nie zdawała nam się odpowiadać dziełu, w które jako część składowa włączoną została. Zbyt mało w niej poezyi, a przedewszystkiem zupełny brak odbicia ducha epoki, w której się dzieje rzecz dramatu, aby mogła być postawioną na równi z którymkolwiek ze wzniosłych i pięknych ustępów, w jakie *Wit Stwosz* obfituje. Zbyt mało w niej lokalnego charakteru i właściwości cechujących daną chwilę, aby nie stanowiła rażącego anachronizmu z całością utworu pana Rapackiego, odznaczającego się właśnie zarówno w ogóle jak i w szczegółach wiernem odzwierciadleniem danej epoki.

Obok tych, drobnych zresztą wad i usterek, dramat posiadał w sobie tyle miejsc prawdziwie pięknych, tyle wzniosłych na sztukę pojęć, tyle ustępów tchnących szczerem i niekłamanem uczuciem—tyle wreszcie scen prawdziwie charakterystycznych, że całość jak najsympatyczniejsze czyniła wrażenie, pomimo, jak już wyżej zauważyliśmy, pewnej niesympatyczności głównej postaci.

Takie wrażenie wynieśliśmy z odczytania tego utworu i nie łącząc się ani z chórem ludzi nigdy z niczego niezadowolonych, ani z tymi, którzy chcieli Wita Stwosza postawić wyżej po nad wszystkiemi dramatami znanemi w naszej literaturze—czekaliśmy chwili, w któ-

Znakomici mężowie i kobiety W POLSCE

od X-go do XII-go wieku.

szkicował
ERNEST ŚWIEŻAWSKI.

(Dalszy ciąg)

IX.

DOBREMIR I HERMENEGILDA DOBREMIRÓWNA.

Taki przebieg dziejów dwu pierwszych małżonek Chrobrego mógłby nasunąć porównanie go z jakim nowoczesnym Sinobrodym, zjednać mu imię, w zakresie moralności, swojskiego Henryka VIII Tudor. Już atoli przy wzmiankach o doli margrabianki staraliśmy się mylność podobnego sądu wykazać. Dzieje trzeciej żony Chrobrego zdają się także przemawiać na korzyść Bolesława Magnusa, i wykazywać, prócz pobudek obyczajowych staro-słowiańskich, byt politycznych sprężyn w postępowaniu tego księcia ze swemi żonami.

Trzecią żoną jego była Erminilda czyli Hermenegilda, dawniej przez błędne odczytanie tekstu Kunildą zwana, córka „czcigodnego dostojnika Dobremira, która wierna Chrystusowi, do wszystkiego dobrego nakłaniała zmienny umysł swego męża, nie przestając rozdawnictwem niezmiernej ilości jałmużn i umartwieniem ciała, mazać plamy ciążącej na obu (poprzedniczkach)". Na tem wyrażeniu się Dytmara opierając, można przypuszczać, że tak Rykdagówna jak Judyta, zostały kolejno poślubione, ale *tylko dla* chrześcian, zdawały się być i kolejno *odpędzone* przez Bolesława, bo jako chrześcianin, dwużeńcem być nie mógł. Choćby faktycznie z niemi się rozwiódł, zawsze obie zostawiał w fałszywem położeniu w obliczu kościoła, który przez usta papieża Jana VIII wypowiedział klątwę na tak ukryte przez rozwód wielożeństwo. Tę to plamę ich położenia chciała zatrzeć Hermenegilda swem chrześciańskiem życiem — jakkolwiek i sama zostawała pod tym samym zarzutem bycia żoną rozwodnika. Ona to „chwiejący umysł swego małżonka" mogła w tym względzie na dobre kierować, że pracowała nad stanowczem wyrugowaniem z łoża i serca Trąby dwu poprzednich małżonek. Czy hojne jałmużny i posty skutecznym były lekiem ze strony Hermenegildy na płochość Bolesława, twierdzić lub przeczyć nie będziem. Zapatrując się za to na całą tę kwestyę żon Bolesławowych z ogólniejszego stanowiska, uważajmy Chrobrego za nieugruntowanego w zasadach katolicyzmu, miejmy mu za istotne zło, że zmienny jego umysł chwiał się między *trzema* jego żonami, pomimo zabiegów wiernej Chrystusowi Hermenegildy. Żadną jednak miarą nie możemy go poczytywać za nikczemnego rozpustnika w obecnem rozumieniu rzeczy, bo już samo określenie Chrobrego u Dytmara „pogański rozpustnik", wyjawia w katolickim tym kronikarzu świadomość pogańskich zasad w małżeństwie, u Słowian, któremi właśnie nasz Bolesław Magnus się kierował. Owa pogańska rozpusta, to jasna przenośnia zamiast „wielożeństw". Gdyby bowiem szło o zwykłą i dziś, trafiającą się u chrześcian rozpustę po za obrębem małżeństwa, Dytmar z pewnością nie dawałby charakterystycznego epitetu: pogański. Tymczasem epitet ów stwierdza podania źródła, które mówią że Bolesław pod naciskiem nowych pojęć, nowych faktów, odpędzał swe żony; dla interesu ich wyrzekał się, ale przez uczucie do nich wracał. Jako chrześcijanin grzeszył, i snać głównie w kwestyach małżeńskich, bo z Dytmara wiemy, że domagał się objaśnień z prawa kanonicznego, ale jeszcze na poły ugrzęzły w moralności starosłowiańskiej: przewinienia w jednej, nowej wierze popełnione, koił argumentami czerpanemi z drugiej, dawnej, i ledwo uciszywszy skrupuły katolickie, znów się stósował do zasad pogańskich. Tym zaś chętniej mógł się do nich wracać, że one zadość afektom i względom polityki czyniły, jak to i na związku z Hermendgildą przekonać się można.

Ojciec jej, Dobremir, nosi u Dytmara taki sam tytuł (senior), jaki zwykle towarzyszy zwierzchnikom feudalnym w stosunku do swych wazali w tej kronice. Ów Otto margrabia, przeciwnik ojca Bolesławowego, tak samo jak ten teść samego Bolesława, ma przydomek czcigodny (venerabilis); okazuje to więc, że Dobremir był jakimś dostojnikiem, jakie też znaczenie zdaje się mieć wyraz senior u Dytmara. Przebiegając myślą pochodzenie małżonek króli i książąt polskich, znajdziemy mało przykładów tego rodzaju zaślubin, jak zawarte przez Bolesława Magnusa z Hermenegildą. On jest panującym, ona bądźcobądź poddanką, choćby Dobremir, jej ojciec, był jakimś słowiańskim najwyższym dostojnikiem. Za zwierzchnika bowiem politycznego Bolesława, Dobremir poczytany być nie może, wedle jednego ze znaczeń tytułu jego łacińskiego „senior. Gdyż wedle słusznej uwagi tłumacza Dytmara, Z. Komarnickiego, takim politycznym seniorem w owej epoce dla Bolesława był Otto III, którego imieniem syna drugiego Hermenegildy ochrzczono [1]).

Szukajmy powodów niezwykłego tego obioru poddanki przez panującego na małżonkę. W jakie lat trzysta, Władysław Jagiełło żeni się z Pilecką, może uniesiony powieścią o walkach, jakich jej ręka była przedmiotem, i jeszcze później Zygmunt-August stacza bój romantyczny o Barbarę Radziwiłłównę, którą naród szlachecki, może instynktownie chroniąc majestat politycznie podupadły swych króli, od utraty jedynego już uroku krwi wyłączności, odpychał od tronu Jagiełłów. Czyżby i ślubom Hermenegildy z dwoistym rozwodnikiem miała przewodniczyć równie silna, jakby z rycerskich romansów poczerpnięta, miłość Chrobrego? Zapewne, że wyobraźni trudno tu szranki nieprzestępne zakładać; nie łatwo lotne jej skrzydła dość skupionemi z sobą faktami obciążyć i do możliwej rzeczywistości przykuć, w formie spokojnej pomocnicy. Wszelako próbować nie zawadzi.

A jest kilka niewątpliwych faktów, których ogół wzięty za tło tytułu Dobremirowego „szanowny dostojnik, pan" lub t. p., może nam ślub Bolesława z jego córką przedstawić w świetle kroku politycznego. A najprzód przypomnijmy sobie owych dwunastu rajców, którzy z swemi żonami zasiadają przy jednym stole z panującą Polsce zwierzchniczą parą małżonków, i roztrząsają pospołu sprawy państwowe. Zdaje się, że z tej wzmianki Gallusa wziął pochop jeden z pisarzy kroniki Bogufały (Wielkopolskiej) do opowieści, że „niegdyś u Lachów nie było żadnych króli ani panujących. Lecz uważając się za braci, z jednego ojca poczętych, wybierali z pośrodka dwunastu mężów rozumem i mieniem się odznaczających, którzy sprawy sporne rozstrzygali między prywatnemi, a ogólnemi spólnie zawiadywali. Podatków zaś żadnych ani posług od nikogo nie wyciskali." Niektórzy badacze połączyli te wzmianki kronikarskie ze szczegółem pewnym z pogrzebu Kazimierza Wielkiego. Czytamy mianowicie, że dwanaście chorągwi powiewało nad trumną ostatniego w Krakowie Pasta. Dobyto ztąd wniosek, że jak tych 12 chorągwi, tak powyższych tyluż rajców i wojewodów było przedstawicielami tyluż odwiecznych prowincyj polskich.

[1]) Mylnie Lelewel tego syna zowie Dobremirem a Bielowski Bolesławem.

---

rej rzecz dla sceny przeznaczona doczeka się chrztu scenicznego i przejdzie tym sposobem ogniową próbę swojej wartości. A chwili tej próby oczekiwaliśmy spokojnie o losy nowego dramatu, bo zawiele w nim błysków prawdziwego talentu, iżby można było o powodzeniu jego powątpiewać.

Nareszcie nadeszła chwila powszechnie oczekiwana i *Wit Stwosz* ukazał się przed publicznością we właściwych dla siebie ramach i w całym przepychu scenicznej wystawy. Była to pewnego rodzaju uroczystość zarówno dla artystów biorących czynny udział w wykonaniu dzieła kolegi jak i dla przepełniającej salę teatralną publiczności. Wit Stwosz wyszedł zwycięzko z próby i zapewnił sobie długie powodzenie na deskach naszej sceny i trwałe a poczesne miejsce w teatralnym repertoarze.

Chcąc w kilku słowach zdać sprawę z przedstawienia tego dramatu, musimy zacząć od zaznaczenia, że jeżeli strony ujemne wyszły mniej wyraźnie, dzięki znakomitej grze artystów, to za to strony dodatnie wiele zyskały. Ale przedewszystkiem wykazała się nowa właściwość dramatu pana Rapackiego, której w czytaniu dostrzedz było daleko trudniej; chcemy tu mówić o formie narracyjnej, więcej na opowiadaniu aniżeli na rzeczywistej akcyi opartej, która przeważa w całym utworze (z małemi wyjątkami np. pierwsza scena drugiego aktu), odejmując mu wiele dramatyczności i siły. *Wit Stwosz* okazał się być raczej poematem epicznym wtłoczonym w ramy dramatu, aniżeli rzeczywistym dramatem, w którymby główne postacie więcej działały niż mówiły—w którymby rozwój akcyi polegał na czynach bohatera i ludzi go otaczających nie zaś na długich o tych czynach opowieściach. W dramacie pana Rapackiego wiele ważniejszych i najważniejszych nawet wydarzeń odbywa się po za sceną, a publiczność dowiaduje się o nich z długich, choć zawsze pięknych, opowiadań jednej z podrzędniejszych postaci.

Drugą wadą, jaka w przedstawieniu wyszła dosyć wyraziście była, chwalebna zresztą ze strony autora, chęć zastosowania się do warunków wymaganych w zasadzie od każdego dzieła dramatycznego; mamy tu na myśli *jedność miejsca*, której zachowanie zmusiło autora do rozegrania wszystkich części dramatu pomiędzy ciasnemi murami Nurymbergi, gdy tymczasem przeniesienie akcyi choć na jeden obraz do starożytnego grodu Krakusa, nad brzegi tej sinej Wisły o której z taką miłością kilkakrotnie wspomina Beata, byłoby całej sztuce dodało wiele urozmaicenia, uwalniając tym sposobem od nużącej nieraz monotonii. Nadto przeniesienie sceny do Krakowa byłoby nastręczyło wdzięczne pole do odwzorowania społeczeństwa, które z siebie wydało Wita Stwosza i do przeciwstawienia go niemieckiemu z owych czasów mieszczaństwu. Sztuka by na tem z pewnością nie straciła a sama postać Wita Stwosza mogłaby zyskać niesłychanie wiele.

Tyle co do główniejszych zarzutów. Przejdźmy teraz do zalet w jakie niezaprzeczenie obfituje dramatyzowany poemat pana Rapackiego. Na pierwszem miejscu stawiamy tu tło ściśle historyczne i znakomite odwzorowanie charakteru epoki, zarówno w całości jak i w najdrobniejszych nawet szczegółach. We wszystkiem czuć tam wieki średnie: duch ka-

Być to może lub nie. Zostanie w każdym razie niewątpliwe podanie Gallusa, że Bolesław I radził się jakichciś zaufanych. Przybywa bowiem na poparcie tego podania krajowego takiż sam szczegół o tymże Bolesławie pod rokiem 1014 przez Dytmara sasa (VII) nam zachowany. Pozwany wówczas przed trybunał cesarza Henryka II-go, książe polski na usprawiedliwienie lub poprawę z nieposłuszeństwa, wręcz odmówił przybycia na te sądy, którym kompetencyi co do siebie zaprzeczając, oświadczył, że sprawę ową wytoczy przed forum „własnych dostojników“ (coram principibus suis haec fieri postulavit). Takie objaśnienie tekstu Dytmara przez W. A. Maciejowskiego najwyraźniej popiera, a nawet i wzmacnia powieść Gallusa, bo przedstawia nam dostojników (principes) polskich w charakterze członków sądu politycznego, który decyduje czy postępowanie ich księcia względem władzy zwierzchniczej jest legalne, lub nie. Rajcy Bolesławowi (u Gallusa) w liczbie dwunastu występujący przy roztrząsaniu kwestyj pierwszej wagi, przy jego stole— u Dytmara zostają forum niemal wyższem od samego swego pana. Usprawiedliwiają niemal wyrażenie Mateusza Cholewy, użyte przezeń w zalecaniach się do tronu mitycznego pierwszego króla Polski. „Zobowiązuje się być Krakus, w razie obioru, nie królem, ale spółrządcą królestwa“ Przedstawienie zaś przez tegoż kronikarza wszystkich niemal pierwszych władców lackich potomkami niskiego stanu, o którym i na wyżynach tronu niezapominają, stopniuje się w cytacie owej anegdoty z francuzkim zdaniem jeszcze do wyższej potęgi. Opowiada mianowicie Mateusz w paraleli do dziejów Leszka II, że któremuś z króli na ucztach wciąż pachołę przypominało: Sire tu murras, co tłumaczyć należy „Panie umrzesz“ a co w każdym języku na tyle wychodzi, jak gdybyś powiedział. „Wybrali cię księciem, ale się niewynoś, bądź raczej jako jeden z nich.“—Wistocie, owa jurydyka dostojników w roku 1014 żywo ucieleśnia zasadę, że panujący w Polsce, już w owych czasach, jest primus inter pares, pierwszym między równemi.

Co większa, szczegóły jakie nam podaje Damiani, w żywocie Ś. Romualda, założyciela kamedułów, bardzo dobrze poinformowany o wypadkach zaszłych w pierwszych latach XI wieku w Polsce; zwłaszcza, gdy przyjmiemy możliwość komentarza przez Lelewela do nich podanego,— przekonają nas, że ów tyle wynoszony autokratyzm, ta samowładność Bolesława Magnusa I i jego następców bezpośrednich, mająca być cechą wybitną pierwszego okresu dziejów polskich, wiele tracą ze swych barw jaskrawych. Mimo woli musiemy przyznać, że wyobrażenia, jakie o tych czasach mieliśmy, nie są jeszcze stanowcze, i choćby teraźniejsze spostrzeżenia grzeszyły nowego rodzaju wybujaniem wjednostronność, przecie i dawny pogląd na ustrój państwowy naszego społeczeństwa nieodpowiadał rzeczywistemu jego, ze źródeł czystych dającemu się dobyć, obrazowi. I o ile dawniej Bolesław-Magnus swą postacią wróżebnego całych dziejów bohatera, całą swych czasów społeczność zasłania, o tyle dzisiaj nadludzkie prawie światło jednego tego olbrzyma samodzierżcy rozszczepia się na liczne gwiazdy, równie jak on jasne, a może nawet i potężniejsze blaskiem na firmamencie dziejowym Powiśla i Nadwarcia.

Jużeśmy widzieli krępujące go więzy w powieściach Gallusa i Dytmara — Na widok dwunastu rajców w kronice pierwszego, bierze cię chęć kreślenia jakiegoś rapsodu o polskich dwunastu parach naszego Karola Wielkiego; uderza cię jakieś podobieństwo do bretońskich rycerzy okrągłego stołu Artura. W kronice Dytmara znów sąd parów Bolesławowych spostrzegamy, i choć byśmy przypuścili, że z pobudek politycznych Bolesław I nadawał swym dostojnikom przed Niemcami niezwykłe im atrybucyje, to pewne wzmianki z dziejów Słowian połabskich którzy np. r. 823, także składali sąd na nieudolnych swych władzców, (synów Liuby lutyckiego) zbijają nasze podejrzenia.

(*D. c. n.*)

PRZEGLĄD LITERACKI.

Szczęście kobiece, powieść przez Jana Zacharyasiewicza.

(*Lwów 1874 r.*)

Pomyłka serca przez tegoż.

(*Czasopismo Kłosy r. 1874*).

Zapewne niejedna z was szanowne czytelniczki „Ogniska“ widziała, za szybą księgarską, żółtą okładkę książki z napisem „*Szczęście kobiece.*“ Jeśli nie weszła natychmiast do księgarni, dla nabycia dzieła tak wdzięcznym polecającego się tytułem, bardzo tego powinna żałować. Temat ten bowiem pod utalentowanem piórem pana Zacharyasiewicza znalazł prawdziwie artystyczne obrobienie.

Bajka utworu prosta, ale jak kunsztownie, a umiejętnie rozwinięta, ile różnych stron życia w rozwinięciu tem autor umiał nam przedstawić! Dwie kobiety i jeden mężczyzna stoją na pierwszym planie utworu—zaszłe między nimi stosunki rozwiązują postawiony przez autora temat o szczęściu kobiecem.

Rzecz dzieje się w Galicyi.

Adelaida, córka hrabiego Alberta, zazdrosna uczucia, jakie w sercu kuzynka jej Edmunda obudziła piękna Olga, wychowana z nią razem córka ekonoma, oddala rywalkę, kupiwszy jej ojcu daleko w Beskidach tytuł dziedzictwa małej górskiej zagrody. Los jednak nie pozwala jej korzystać z osiągniętego w ten sposób zwycięztwa. Dla ocalenia bowiem od zmazy pięknego nazwiska jakie nosi, w obec poszukiwań, niestety zbyt licznych wierzycieli ojca, Adelajda oddaje rękę ułomnemu i znacznie od niej starszemu panu Wojciechowi. Biednemu wszakże jej sercu nie wystarcza samo umiłowanie pamiątek rodowych, Adelaida pragnie pokochać męża, i aby go uczynić godnym swojej miłości, promuje na bohatera. Myśl tę podają jej wypadki r. 1846, które w tym właśnie czasie, jak ciemna chmura, zawisły nad głową galicyjskiego społeczeństwa. Pan Wojciech w charakterze agitatora ruchu w mroźną zawieję opuszcza dom, żegnany uściskami zachwyconej jego odwagą małżonki, i tego samego podobno dnia pada ofiarą podjętej roli. Niedługo potem przybywa do krewnej pan Edmund, demagog, jeden z ludzi owej smutnej doby a złamany bezsennością i przeżiębły rozchorowywa się ciężko.

Przy końcu roku żałoby, jakaś usłużna ciocia zmusza piękną wdowę do ukazania się na salonach Krakowa, sama zaś sprowadza pana Edmunda z Paryża, gdzie przebywał od ostatnich w kraju wypadków. Ciocia występuje w roli swatki. Jak blade słońce z za chmur uśmiechnęło się teraz szczęście do biednej Adelaidy, ale jakże się niem krótko cieszyła. Wieść publiczna rzuciła na młodą wdowę oskarżenie, że poszła za nieboszczyka pana Wojciecha, aby zostać bogatą, że go potem wysłała na przeciw niebezpieczeństwa, podczas kiedy dawny kochanek, chory, ocalał w pałacu—teraz zaś wolna i bogata zaślubia Adelaida Edmunda.

Jeden zostaje sposób wydarcia żądła potwarzy. Adelaida przywozi z górskiej zagrody stęsknioną Olgę i łączy ją z Edmundem—przycem oddaje uszczęśliwionej parze swój znaczny majątek.

Na tle w ten sposób wysnutego opowiadania, kreśli nam autor dwa pełne prawdy charakterów [...]

stowości, jakaś zawiść ugruntowana na skostniałej tradycyi, wiejąca z cechów, streszcza się wybornie w cechmistrzu Steinbauerze i innych, grupujących się koło niego figurach. A dalej siostra Erdmuta ze swoim proroczym obłędem, ślepy mistrz Adam, postać prawdziwie tragiczna, i choć krótką tylko chwilę na scenie goszcząca, przewyższająca o wiele głównego sztuki bohatera, który niejako staje się tylko narzędziem i wykonawcą myśli owego ślepca, wreszcie do przeciwnego już obozu należąca figura, Deichsler kronikarz miasta, znakomicie pochwycony i naszkicowany, z całym swoim komizmem wynikającym ze ślepego zaufania w sobie, dumy i arogancyi z jaką zdania swoje i myśli ciemnemu narzuca pospólstwu—cóż to za wyborne i prawdziwie typowe figury!

Dobrze również nakreślone są charaktery Beaty, córki Stwosza i ucznia jego Albrechta, a oba pełne miłości nader sympatyczne na widzu i słuchaczu sprawiają wrażenie.

Obok tego co wyżej powiedziano utwór pana Rapackiego ma niezaprzeczenie wiele poezyi w pojedynczych ustępach, całość pisana jest językiem pięknym i czystym, a niektóre obrazy odznaczają się artystycznem wykończeniem. Do takich między innemi zaliczamy pierwszy obraz drugiego aktu, scenę przed kościołem, w chwili gdy naprawiony przez Stwosza zegar, po długiem milczeniu pierwszy raz bić zaczyna. Tę scenę, w której oprócz głównych działaczów sztuki występują masy ciemnego ludu i dwie typowe postacie Erdmuty i Deichslera, tę scenę—zaliczamy do najlepszych w całym utworze, bo w niej poemat przeistacza się na chwilę w rzeczywisty dramat. Do lepszych równie należą końcowa scena aktu trzeciego i czwartego, natrój dramatyczny dochodzi znowu do odpowiedniej siły i potęgi a pełna grozy tragiczność stawia nawet postać Stwosza zupełnie we właściwem świetle.

Gra najpierwszych artystów naszego dramatu przyczyniła się niemało do powodzenia utworu pana Rapackiego. Śmiało powiedzieć możemy, że wszyscy grali wybornie—a nie będzie w tem żadnej przesady. Królikowski jednak na szczególne zasługuje uznanie, bo w dłúgiej nużącej, mało charakterystycznej a nawet niesympatycznej w swej naturze roli Stwosza umiał w publiczności obudzić współczucie dla nieszczęśliwego bohatera i tym sposobem zła-' godził o wiele jeden z ważniejszych zarzutów, jaki poważna krytyka tej sztuce uczyniła.

Wystawa pełna przepychu, dekoracye wiernie odwzorowane, masa osób zapełniających scenę i do zbytku może długo trwająca, lecz niemniej pełna uroczystości procesya w akcie trzecim dopełniły całości do uświetnienia której przyczyniła się również piękna muzyka skomponowana umyślnie przez pana Żeleńskiego.

Tyle o Wicie Stwoszu... chciałbym cię jeszcze miły czytelniku przenieść w inną sferę i pogwarzyć z tobą o rzeczach, które ciebie równie jak i mnie obchodzić muszą... ale dzięki panu Rapackiemu, który nas zbyt długo na swoim dramacie zatrzymał, *volens nolens* odłożyć to muszę do przyszłej pogadanki.

———

raktery kobiece. W poprzednich swoich utworach przekonał nas niejednokrotnie, że w malowaniu charakterów i temperamentów piękniejszej połowy naszego rodzaju przewyższa wielu, jeżeli nie wszystkich współczesnych mu pracowników pióra na polu powieści. W „Szczęściu kobiecem“ niepospolity nasz powieściopisarz więcej jak kiedykolwiek stanął na wysokości swojego talentu. Adelaida i Olga, jako dwa obrazy kobiecych charakterów, nie zostawiają nic do życzenia.

Jakkolwiek bowiem dla pierwszej celem życia jest świetność arystokratyczna, po za tym nabytkiem wychowania Adelaida przedstawia prawdziwy typ kobiecy. Zamknięta w pałacu ostatnim, jaki pozostał ojcu z rozległej niegdyś fortuny, trawi życie cierpiąc nad upadkiem tej gałęzi znakomitego rodu, której jej ojciec ostatnim jest przedstawicielem. Wpośród tak smutnie płynącego życia zjawia się się w okolicy krewny jej pan Edmund, to samo co i oni noszący nazwisko, ale od nich jeszcze uboższy. Piękny kuzynek, którego osamotniona królowa za pierwszem przybyciem witała w białej sukni i z kwiatami w ręku chcąc, tym sposobem wyobrażać postać szczęścia, tak podobno przez fantazyą artystów przedstawianego—piękny pan, Edmund mówimy—zrobił na umyśle Adeli więcej jak przelotne wrażenie. Czując jednak niepraktyczność związku z ubogim młodzieńcem, nieprzypuszcza myśli, aby pokochać go mogła, pan Edmund tymczasem, zrażony widoczną oziębłością kuzynki, zwraca się do jej towarzyszki, która w krótce oddaje mu serce. Podobno najwznioślejsze nawet charaktery kobiece zdolne są do uczucia zazdrości. Adelaida doznawać zaczęła tego uczucia, sama do tego przed sobą się nie przyznając. Bardzo szczęśliwie pochwycił w tem miejscu autor pewną właściwość kobiecego usposobienia. Adelaida wyrozumowała sobie, że uczucie, które od niejakiego czasu zgadywała w sercu towarzyszki lat dziecinnych, uczyniłoby ją nieszczęśliwą, nawet w wypadku, gdyby Edmund pojął ją za żonę, a to ze względu na nierówność pochodzenia i towarzyskiej pozycyi zakochanych. Dlatego to Adelaida namówiła ojca, aby w nagrodę długoletnich zasług kupił staremu ekonomowi tytuł dziedzictwa małej górskiej wioszczyny i wraz z córką wyprawił go zdaleka od siebie.

Nigdy mężczyzna, postępując wbrew przyjętym zasadom, nie umie wprowadzić się tak zręcznie w błąd, przypisując sobie w tem inne jak rzeczywiste a często i najpiękniejsze intencye—jak to potrafi kobieta. Adela powodowana zazdrością pewną była, że wyświadcza kochającej ją towarzyszce lat dziecinnych dobrodziejstwo, że spełnia czyn szlachetny. Pełnym prawdy, w takim jak Edmunda charakterze, jest po krótkim żalu zwrot sentymentu ku czarującej go urokiem piękności Adelaidy.

Ta znów, aby sama siebie nie posądzać o to, co było rzeczywistym powodem oddalenia Olgi ubiera się mniej do twarzy jak zwykle, a dla kuzynka jest bardziej obojętną. Pomimo jednak że taką drogę wskazywał jej rozum, Adelaida, sama z tego sprawy przed sobą nie zdając, zaczyna grać na fortepianie ulubione Olgi sonaty, każe sobie zaczeszywać włosy tak jak zwykła je nosić oddalona przez nią rywalka, stara się nawet malować, co od dawna już zaniedbała, wkrótce nawet wychodzi do Edmunda w różowej sukni, w jakiej Olgę najczęściej widywał—wszystko to bez świadomej sobie chęci podbicia jego serca, której nigdy by sobie nie wybaczyła.

Czuła jednak Adelaida, że związek jej z pięknym kuzynkiem jest tak jak niemożliwym. Uważała tedy za swoją powinność niczem nie ośmielać jego nadziei. Kobieta jednak tak dalece potrzebuje być kochaną, że pomimo wszelkich protestacyi rozsądku, Adelaida czuła tajemną rozkosz widząc jak piękny kuzynek tajał jak lód pod ogniem jej spojrzeń.

Jeśli zaś czasem sumienie wyrzucało jej zbyt długie na osobności rozmowy lub przyjmowanie gorących uścisnień ręki, odpowiadała sobie najspokojniej, że nie podobna kobiecie zabronić komukolwiek kochać, i że ze swej strony czystą jest zupełnie, jeśli tylko słowem nieupoważni wielbiciela do jakichkolwiek względem uczucia swego nadziei. W takiem jednak odosobnieniu, jakie dla nich obojga przedstawiał osamotniony pałac, niepodobna było wrażliwej i pragnącej uczucia młodej osobie utrzymać się długo na wysokości zamierzonej roli. Wszelkie względy i wyrachowania światawe rozpierzchły się na dźwięk struny sercowej.

Wszystkie te zaledwo przez nas wzmiankowane erotyczne perypetye rozwinął autor przedziwnie.

Nadewszystko zaś winszujemy mu przedstawienia jednej strony niewieściego charakteru mianowicie kokieteryi uczciwych kobiet. Poważna Adelaida, osoba niezawodnie zacna i postępująca wedle zasad najsztywniejszej przyzwoitości, powiedziawszy już, niejednokrotnie kuzynkowi, że za mąż wyjść może tylko bogato, uczyniła w ten sposób zadość głosowi rozsądku i sumienia, poczem pozwala już sobie najspokojniej roztaczać nad nim wszystkie czary sztuki kobiecej. Jedną z cech podobnej kokieteryi jest zupełna jej bezinteresowność. Kokietka jest swojego rodzaju artystką. Jak estetyka mówi nam o sztuce dla sztuki, tak kobieta bywa często kokietką dla kokieteryi, dlatego jedynie wewnętrznego zadowolenia, jakie daje mistrzowi praktykowanie swojego kunsztu.

Drugi charakter, Olgi, niemniej jest szczęśliwie pochwycony.

Ta już niezwiązana żadnemi wymaganiami arystokratyczności, jest prawdziwą kobietą. Uczuciowość i niewinna pretensyonalność stanowi tło jej charakteru. Olga jest piękną i wie o tem, rozbudzona silnie wyobraźnia, obok wysoce uczuciowego temperamentu, robi z niej marzycielkę. Celem jej marzeń jest miłość. Autor, usposobienie takie bardzo zresztą ukobiet powszechne, tłómaczy wpływami wychowania. Wykształcenie kobiet naszych, jak powiada, jest przedewszystkiem artystyczne i literackie. Taki kierunek wykształcenia rozwija nieproporcyonalnie do innych władz umysłu uczucie i wyobraźnię. Co jednak uważamy w charakterze tym za zupełnie prawdziwe, to że pusta i wyegzaltowana Olga, pozująca na ideał, jest istotą szlachetną dobrą i w wysokim stopniu sympatyczną. Porachujmy się z wspomnieniami, takim był po większej części przedmiot naszych pierwszych miłości.

Pozostaje nam powiedzieć kilka słów o jedynym dosyć wykończonym charakterze męzkim Edmunda. Niestety! pomimo słabych stron charakteru kobiecego, pomimo wadliwego po większej części kierunku wychowania kobiet, zestawienie charakterów niewieścich z męzkim w utworze pana Zacharyasiewicza wypada na korzyść pierwszych. Czy by tak było i w życiu? Nie tutaj miejsce zdanie nasze o tem wypowiadać, przyznać tylko musimy, że charakter Edmunda niemniej jest od poprzednich prawdziwym i pomiędzy nami bynajmniej nierzadkim. Pan Edmund na wstępie utworu przedstawia nam się jako demokrata i jeden z najważniejszych działaczy podziemnych robót przygotowującego się ruchu. Swój klejnot szlachecki nie wiele waży, oddałby go jak powiada, za kilka chwil prawdziwego szczęścia. Mówiąc to młody demagog miał na myśli miłość złotowłosej Olgi—szkoda tylko, że nie bardzo wart był tego szczęścia,—po oddaleniu się bowiem ukochanej i uczucie dla niej wygasło nie zadługo w sercu Edmunda, a natomiast obróciło się ku Adelaidzie. Łatwiej jednak darowalibyśmy mu tę niestałość serca, gdyby nie grzeszył więcej niestałością umysłu i zasad. Zapalony demokrata, powołany reformator społeczeństwa, patryota, w rok niespełna kiedy stosunki się zmieniły a bohaterstwo przestało popłacać, powraca z Paryża wymuskanym młodzieńcem, świecąc z daleka herbem, patentem do salonowej karyery. Adelaida przypomniała mu dawną rolę eklerera postępu i demokratyczności. Obowiązkiem naszym jest, tłómaczył się nieco zmieszany — płynąć razem z prądem czasu. Przed rokiem był czas taki, że ten sztandar dominował. Niechcąc być bezczynnym, zaciągnąłem się pod niego. Dzisiaj ten sztandar powalony, jestem znowu tem, czem byłem przedtem.

W tej samej rozmowie Adelaida, uwiadomiona o co ją oskarża wieść powszechna, odejmuje Edmundowi wszelką nadzieję otrzymania jej ręki, przypominając dawne jego dla Olgi uczucie.

Edmund w pierwszej chwili objawia skrupuły arystokratyczne, zapomina o nich wszakże natychmiast, skoro mu powiedziała Adelaida, że Olga równie jak i ona jest bogatą. Za wiele upokorzenia, zawoła czytelnik!—mężczyzna w powieści pana Zacharyasiewicza za nisko upada. Upada nisko to prawda, obejrzyjmy się jednak w koło siebie, czy mało naliczymy podobnych wypadków? Tak więc zdaniem naszem autor i co do tego charakteru jest w zgodzie z prawdą życiową. A cóż Olga? Zapyta dalej czytelnik. Olga w swojej chatce na szczytach Beskidów tęskniła i wierzyła długo, że Edmund zawsze ją kocha. Wyprawiona z ojcem w nocy z pałacu hrabiego Alberta, nie przypuściła ani na chwilę myśli o rzeczywistym powodzie, dla którego pozbywano się ich tak nagle. Szlachetna jej dusza przy wrodzonej kobiecie skłonności do widzenia wszystkiego w jaśniejszych jak rzeczywiste barwach—wymarzyła, że zamiary Edmunda względem niej, hrabiemu Albertowi i jego córce dobrze były wiadome. Że dotychczasowi jej opiekunowie sprzyjali zamiarom swego krewnego o tem niewątpiła ani na chwilę. Tak rozważając powód wyjazdu, uwożona przez ojca w nocy na małej bryczce—zalała się łzami wdzięczności. Oto jaką myśl nasunęła jej niezachwiana wiara w zacność ludzi i szlachetność ich zamiarów. Hrabia kupował dziedzictwo jej ojcu, aby tym sposobem znieść przedział, jakiby podrzędne stanowisko prostego ekonoma mogło postawić między nią a wybranym jej serca. Na miejcu tymczasem wyjazd starego Burskiego z córką tłómaczono sobie inaczej. Ekonomówna miała romans z panem Edmundem—mówiła służba w pałacu — dla zerwania tego stosunku wysłano ją wraz z ojcem wynagrodziwszy za wydalenie się z miejsca kilkoma tysiącami reńskich. Ale duch opiekuńczy sieroty—powiada autor—stanął na przesmykach gór, w pośród których bieliła się jej chatka i niedopuścił, aby złe wieści dostały się za nią w tę okolicę. Przyszło tu tylko głuche ich echo, dosyć jednak wyraźne, aby oświecić biedną Olgę, że napróżno wyglądałaby dłużej ukochanego w wijącym się pośród skał wąwozie... Pomimo to Olga niestraciła jeszcze zupełnie nadziei i ani na chwilę niepozwoliła sobie podejrzewać czystości intencyi swoich dobroczyńców.

Cierpiąc bardzo, wierzyła ciągle, że to co zrobili, było dla jej dobra, ona, bowiem, dla swego niskiego pochodzenia, nie była stosowną partyą dla Edmunda... Pomimo to—mówimy—przez czarne chmury tej smutnej rezygnacyi, przekradał się promyk lepszej nadziei: „a może kiedy...“ Taka wiara w ludzi, taki optymizm, to podług autora szczęście kobiece. Pan

Zacharyasiewicz rachuje się bardzo z względami moralnemi w powieści. Ta wyższa nad wszystko szlachetność i czystość myśli biednej wygnanki musiała odnieść nagrodę. Zawitał nareszcie do chatki, goniec szczęścia w postaci Adelaidy i przeniósł Olgę do Krakowa. Niedługo potem Edmund i Olga byli już narzeczonemi. Edmund udawał, a szczęśliwa marzycielka wierzyła, że przez cały czas rozłączenia kochał ją jednakowo i wiernym był zawsze. Kiedy zaś Edmund zawahał się czasem w podobnie kłamliwych wyznaniach ona tego nie widziała. Czasem nie widzieć, należy także do szczęścia kobiecego—powiada nam autor przez usta Adalaidy. Moralną tendencyą widzimy także w karze, jaka spotyka dumną Adelaidę nie zdolną wznieść się uczuciem po nad wymagania arystokratycznej sfery. Kara ta jednak nie spada od razu, niby na Heroda w szopce, jak to widzimy w niektórych bardzo moralnych powieściach. Przygotowuje ją cały przebieg wypadków wysnutych z konsekwencyą czyniącą zadość wymaganiom najwybredniejszej krytyki. Podobnież wszelkie inne tendencye, dające się zauważyć w powieści wplecione są w toku opowiadania bardzo zręcznie i poparte wypadkami życia następującemi logicznie i bez wszelkiego naciągnięcia. Mamy tu na myśli lekki odcień demokratyczny, jakim autor nasz zabarwia niekiedy swoje utwory. Demokratyzm ten jest jednak rozumny, a wprowadzenie go do utworu umiejętne i prawdziwe artystyczne. Nietrudno jednak dojrzeć go w opowiadaniu o hrabim Albercie, jego żonie i braciach, dalej w fałszywym, a dla osobistego jej szczęścia zgubnym, wpływie pojęć arystokratycznych Adelaidy, oraz w wielu oddzielnych obrazach, mianowicie w najtrafniejszym ze wszystkich obrazie ucieczki z pałacu starego ekonoma, obecnie już dziedzica *in spe*, który uchodząc w nocy bocznemi drogami, jak złoczyńca, uciekał—powiada autor: „sam przed sobą."

(Dokończenie nastąpi)

PIEŚŃ MŁODOŚCI.

Młodości... wiosenny kwiecie!
Duszą twą—jasność nadziei
I świat marzenia! Jak dziecię
Biegniesz wesoło w życia kolei!
Stąpasz po cierniach bezwiednie,
Ból cię chwilowy nie płoszy
Masz przyszłość! Czy w noc, czy wednie
Jaśniejesz w pełni roskoszy
Jak słońce! Młodości święta...
Szczęśliwy kto w dni zachodzie
Nutę twej pieśni spamięta...
Bo w przykrej życia przygodzie
Orzeźwi siły—jak kwiatek
Pod kroplą zarannej rosy —
Zwiędłej nadziei ostatek...
Łzą wspomnień poszle w Niebiosy,
I... uśmiech chwilką zagości
Nawet na licu starości!...

Kazimierz Niemierowski.

O MIESZKANIACH PODZIEMNYCH.

Ze stanowiska higieny.

według Prof. D-ra Beclam'a

napisał

Stan. Woj. Łukswski.

W większych miastach, właściciele budujący swe domy na spekulację, ażeby wynajmować je w postaci mieszkań, mają na celu, rozumie się, nie przyrodzone potrzeby lokatorów, lecz jedynie dochód otrzymany z budynków, i dla tego starają się usilnie, każdą, choćby najmniejszą przestrzeń w takowych, odpowiednio swym samolubnym wyrachowaniom spożytkować. Nic też dziwnego, że w podobnych domach nie znane są: szerokie korytarze, obszerne przedpokoje, widne schody i inne służące dla wygody oraz zdrowia, urządzenia. Natomiast każdy kącik, który tylko da się zaopatrzyć w okno i drzwi (piec nie zawsze uważany jest za konieczny), przemyślny gospodarz zamienia na mieszkalny i taką ciupkę (często położoną tuż obok miejsc ustępowych), mianuje dowcipnie... pokojem; facyjaty i poddasza, duszne i zimne, przeznacza również na mieszkania, — sień na sklep, — a piwnice, też same piwnice w których porządny kupiec obawiałby się złożyć swe towary, oddaje, naturalnie nie bez pewnej opłaty, na schronienie dla... ubogich rodzin!

W 1852 r., komissya zdrowia publicznego znalazła w m. Lyonie, po dokładnem zbadaniu: 212 mieszkań podziemnych (suteryn), 386 innych i dwa całe domy, zupełnie niezdatnemi do zamieszkania i szkodliwemi dla zdrowia; wskutek czego, domagała się przerobienia i całkiem nowego urządzenia tychże, zgodnego z warunkami higienicznemi. Żądanie to, poparte przez zamożniejszą ludność Lyońską, pojmującą w widokach własnego bezpieczeństwa, zgubny wpływ dla zdrowia ogółu, tak ogromnej liczby złych mieszkań,—zostało wkrótce pod naciskiem władz policyjnych, kosztem właścicieli, dokonane; odmawiającym zaś spełnienia tego nakazu, niezdrowe w ich domach mieszkania, opieczętowano i zabroniono wynajmować je pod znaczną karą. W naszych miastach, liczba złych mieszkań, być może, stosunkowo nie jest zbyt wielką; lecz kto zechce podjąć się trudu szukania, ten zarówno w Warszawie, jak i na prowincyi, znajdzie niestety, nierzadkie przykłady mieszkań, zatruwających zdrowie i życie nieszczęsnych lokatorów! Najbardziej zaś rażących wzorów takich mieszkań, zawsze należy szukać w podziemiach.

Komissya zdrowia publicznego w m. Lyonie, miała zupełną słuszność domagać się spełnienia owych poleceń, gdyż śmiertelność, zwłaszcza pomiędzy dziećmi żyjącemi w tamtejszych podziemiach, była tak znaczna, że z 21,000, umarło 20,700 dzieci przed dojściem piątego roku życia, a więc przerażająca liczba! W innych miastach, zebrano nie mniej zgodne z powyższemi faktami spostrzeżenia.

W Manchester, gdzie znajdowało się 4,443 mieszkań podziemnych, śmiertelność pomiędzy dziećmi była dwa a nawet trzy razy większą, aniżeli przy jednakowej liczbie ludności rolniczej, przebywającej w lepszych mieszkaniach; nawet w oddzielnych parafijach, gdzie nie istniały całkiem mieszkania podziemne, cyfra śmiertelności i chorób była mniejszą, w porównaniu z takąż cyfrą w innych częściach miasta, gdzie wiele podziemi było zamieszkanych—i fakt ten stanowczo przekonał, że przyczyna pomienionej śmiertelności, nie zależy od jakichkolwiek klimatycznych wpływów. Prawie we wszystkich miastach angielskich z ludnością fabryczną, złe powietrze mieszkań podziemnych pochłania corocznie ogromną liczbę ofiar. Lecz w żadnem z miast rzeczonych, śmiertelność nie jest większą, jak w Liverpoolu, co łatwo pojąć, zważywszy, że tam od czterdziestu do pięćdziesięciu tysięcy osób, zamieszkuje w podziemiach (blizko piąta część ogólnej ludności Liverpoolu), oddychając zepsutem i pozbawionem możności odnowiania się powietrzem. Przeciwnie, w Birmingham, gdzie nie masz wcale mieszkań podziemnych, i za złe poczytywać można tylko mieszkania istniejące w tylnych przybudowaniach, śmiertelność w porównaniu z innemi miastami angielskiemi, bywa najumiarkowańszą i stan zdrowia ludności tamtejszej przedstawia się najpomyślniejszym. W Liverpoolu, z pomiędzy dzieci żyjących w podziemiach, piąta prawie część (a więc 2%), musiała z powodu chorób, przerwać uczęszczanie do szkół, podczas, gdy z dzieci pomieszczonych w zdrowych lokalach, zaledwie 3%, opuszczało lekcye z przyczyny zasłabnięcia.

Niszczące działanie mieszkań podziemnych na zdrowie i życie przebywających w nich osób, zależy głównie od czterech charakterystycznych przyczyn, mianowicie: od *zimna* panującego w takich mieszkaniach, ich *wilgoci*, *niedostatecznej wymiany* w nich *powietrza* (przewietrzenia) i *ciemności*.

Zimno podziemi, warunkuje się po części grubością otaczających je murów, po części zaś tą nieprzychylną okolicznością, że mury owe, będąc pokryte zewnątrz warstwą ziemi, nie dopuszczają działania powietrza atmosferycznego i słonecznych promieni; przez co też, nie mogą pozbyć się swej wilgoci drogą ulatniania i raczej wciągają ją z ziemi, jako ze stałego, niewyczerpanego źródła. Zimno rzeczone udziela się stopniowo wszystkim sprzętom, pościeli i wogóle przedmiotom, znajdującym się w podziemnych mieszkaniach, sprowadza zwolna nadmierne oziębienie żyjących tam ludzi, — i działa na nich tem szkodliwiej, że posiadając zazwyczaj bardzo szczupłe środki materyalne, nie mogą ci nieszczęśliwi podtrzymywać jednocześnie i powiększać sprawy palenia (utleniania) w swej krwi, za pomocą dostatecznego pokarmu i napoju, ażeby tą drogą wynagradzać ubytek ciepła w swem ciele. Potrzeba tu również zwrócić uwagę, na różnice temperatury oddzielnych warstw powietrza, w mieszkaniach podziemnych. Podczas gdy od podłogi wieje chłód lodowaty i temperatura ta przechodzi bezpośrednio do niższych warstw powietrza— sufit przeciwnie, bywa ogrzewany położonemi nad nim i opalanemi oddziałami domu, ogrzewając z kolei przyległą mu warstwę powietrza. Tym sposobem, mieszkańcy podziemni znajdują się w zupełnie nieodpowiadającej zdrowiu temperaturze, gdyż nogi ich otoczone są powietrzem zimnem, a głowa dotykająca prawie niezkiego sufitu, otoczona jest stosunkowo daleko cieplejszem powietrzem. Okoliczność też pomieniona, sprowadza owe nieprawidłowości w obiegu krwi, charakteryzując się napływem tejże do mózgu i płuc, oraz wielu innemi zjawiskami chorobowemi, które każdy lekarz niejednokrotnie spostrzegał pomiędzy mieszkańcami podziemi, i które w nich, podobnie jak u osób przebywających w okolicach bagnistych, wywołują powolny bieg wszystkich chorób, skłonność do tyfusu, gorączkę przepuszczającą i wodną puchlinę.

Zgubne to działanie zimna, powiększa się jeszcze *wilgocią* powietrza podziemnego. Ta ostatnia bowiem, daje powód do przeziębień, reumatyzmów, długotrwałych katarów połączonych z kaszlem i nadmiernem pluciem, uspo-

sabia do biegunki i suchot; do tego należy dodać, że dzieci żyjące w podziemiach, rozwijają się pod wpływem istniejącej tam wiecznie wilgoci, słabiej i powolniej, stają się blade, nikłe, chorowite i ponure, — jak nie mniej i to jeszcze, że oprócz przytoczonych dopiero cierpień, mieszkańcy podziemi nie małej doznają straty w swych ruchomościach, które pod wpływem wilgoci pokrywając się pleśnią, ulegają prędkiemu zniszczeniu,—a łatwo zgodzimy się, że już ze względu choćby samego zimna i wilgoci, napełniających mieszkania podziemne, są one aż nadto szkodliwe dla zdrowia i kieszeni żyjącej w nich ludności.

Niedostateczna wymiana powietrza, wytwarzająca w podziemiach, nagromadzenie się nieruchomego, zepsutego powietrza, jest nie unikniona już dla tego, że same z siebie niezbyt duże i przy wszystkich możebnych warunkach nie wystarczające do przewietrzania okna, muszą być ciągle zamknięte, dla ochrony od wilgoci i kurzu, które tą drogą usiłują się przedostać do wnętrza mieszkania, z podwórza lub ulicy.

Jeśli nawet otworzymy owe okna, to nie mogą one wpuścić żadnego innego powietrza, oprócz bezpośrednio leżącego nad ulicznym brukiem, a więc najcięższego i zanieczyszczonego miazmatami ulicznemi, szkodliwemi gazami i innemi przymieszkami. Zresztą, choćby otrzymywane stąd powietrze było zupełnie czystem, to i wtedy, otwarte okna okazałyby się niedostatecznemi do należytej wymiany powietrza; nie tylko z powodu swych małych wymiarów, lecz również dla tego, że zazwyczaj nie ma prawie żadnej możności wywołania przeciągu w mieszkaniach podziemnych, za pośrednictwem otwierania przeciwległych drzwi lub w inny jakikolwiek sposób. Przy każdej przedsięwziętej w tym celu próbie, przenika ze znajdującego się za drzwiami korytarza, jeszcze gorsze do wnętrza mieszkania powietrze; jeśli zaś lokatorzy zechcą oczyścić powietrze za pomocą mocnego napalenia w piecu, jak to się praktykuje w innych pomieszkaniach,—wtedy, naturalnie, psują powietrze jeszcze bardziej, gdyż ciepło pieca powoduje ulatnianie się nagromadzonej wewnątrz i na powierzchni ścian wilgoci, zawierającej, zwykle wiele jeszcze innych cuchnących materyi,—pomijając już to, że podobna strata opału przewyższa środki ubogich mieszkańców podziemi. Tym sposobem, podlegli są oni, bez możności zaradzenia, zgubnemu wpływowi złego powietrza.

Nakoniec, mieszkania podziemne doznają *braku światła*, a brak ten działa na człowieka daleko szkodliwiej, aniżeli zazwyczaj o tem myślemy. Nawet tak zwani wykształceni ludzie, nie znają jeszcze wartości światła w mieszkaniach, inaczej bowiem, nie sypialiby oni tak chętnie w ciemnych, nie mających okien alkowach, gdzie powietrze, chociaż swą wonią różni się od wyziewów brudnego podwórza, lecz nie mniej szkodzi jak te ostatnie zdrowiu, i gdzie człowiek pozbawiony jest dobroczynnego wpływu promieni słonecznych. Instynkt narodów starożytnych przeczuwał wpływ pomieniony: pierwszą religiją wielu plemion było ubóstwianie słońca, — kult, który dotychczas jeszcze zachował się u czcicieli ognia i nawet pozostawił ślady w niektórych zwyczajach ludów chrześcijańskich.

Mieszkańcy podziemni, jeśli takowe urządzone są nie w domach zbudowanych w otwartej przestrzeni, lecz w ciasnych ulicach, dokąd nie przenika ani jeden promień słońca, pozbawieni są zawsze, nawet latem, działania światła. W tych okropnych schronieniach ludzkich, panuje wieczna zima, nie tylko pod względem chłodu, lecz i co do krótkości dnia, gdyż światło dzienne, dochodzi tutaj o godzinę później i znika stąd również wcześniej, wskutek sztucznej zasłony przez sąsiednie wysokie gmachy, — tak, że lokatorowie podziemi, już muszą siedzieć przy lampach wówczas, gdy mieszkańcy górnych piętr cieszą się jeszcze w swych pokojach całkowitem dziennem światłem. Następstwa wynikające z braku światła, najwyraźniej okazują się na dzieciach. Dr Holland zauważył, że znaczniejsza liczba przyrodzonych zeszpeceń ciała w Liverpoolu, przypada na dolę rodzin, zamieszkałych w podziemiach. Millne-Edwards, uczony francuzki, jasno dowiódł, że przyczyna tego zjawiska zależy od braku światła. Wykonał on następujące doświadczenie: w dwóch blaszanych skrzynkach, z których jedna przykryta była taflą szklaną, przepuszczającą światło, a druga pokrywą z czarnego papieru,—a więc niedostępną dla światła,—umieścił po dwanaście kijanek jednakowego wieku i jednakowej wielkości. Po upływie czasu, potrzebnego do ich rozwoju, wszystkie kijanki w jasnej skrzynce przekształciły się na żaby, kijanki zaś ciemnej skrzynki, pozostały po większej części, w dawnej postaci i tylko nieco podrosły; zaledwie dwie z nich, a zatem szósta część wszystkich, zamieniły się w prawdziwe żaby, lecz słabe i nędzne, w porównaniu z rozwiniętemi pod wpływem światła. Ze swej strony, widzimy dowód tego wpływu w różnicy mieszkańców naszego planety: z opisów podróżujących osób wiadomo, że pierwiastkowi mieszkańcy krajów podzwrotnikowych, posiadających zdrowy klimat i mocno oświeconych przez słońce, — są ludźmi zdrowemi, silnemi i kształtnie zbudowanemi; przeciwnie zaś, mieszkańcy okolic podbiegunowych, rzadko tylko, w pewnej porze roku, korzystający ze światła słonecznego,—stanowią rassę ludzką drobną, słabowitą i nędzną (jak np. eskimosy, lapończycy i inni).

Wpływając tym sposobem na ciało, brak światła, nie pozostaje zaiste, bez wpływu i na duchową stronę człowieka. Dobry rozwój umysłowy idzie ręka w rękę z prawidłowym, swobodnym rozwojem ciała, korzystającego dostatecznie ze światła. Nie bez przyczyny to, kwitnęły w starożytnej Grecyi sztuki, a twory greckiego genjuszu służą dotąd za wzór i normę dla współczesnych nam talentów. Nie bez powodu to, nasi artyści dążą do ciepłej Italii, ażeby rozwijać tam swe zdolności pod promieniami jaśniejszego słońca.... Rzym dla nich jest obiecaną Mekką, którą powinien każdy, choć raz w swem życiu odwiedzić..... Jaki wpływ wywiera światło na usposobienie duchowe, można poznać z twarzy wrażliwych osób, podczas jasnej lub pochmurnej pogody. Jeszcze Schiller, przed laty siedmdziesięciu, wskazał na to zjawisko, uznane oddawna za pozytywne w nauce lekarskiej, — że wewnętrzne nasze usposobienie, zależy wielce od pewnego stanu ciała i otaczających je wpływów przyrodzonych. „Dla tego, mówi on, wesoły humor, zadowolenie wewnętrzne, podczas zdrowej i pięknej pogody, chociaż poczęści są wynikiem kojarzenia się pojęć, jednak z drugiej strony, powstają i wskutek ułatwienia czynności organizmu przez pomienione warunki zewnętrzne. Ludzie powiadają zazwyczaj w tym razie—czuję, że mi jest błogo, i skłonniejsi są wtedy do każdej pracy umysłowej serce ich uderza goręcej dla wszystkiego, co ludzkie, wzniosłe i piękne pod względem moralnym.“ Toż samo da się zastosować i do charakteru narodów, zostającego w ścisłym związku z otaczającą przyrodą. W gęstych mgłach Anglii, spoczywa przyczyna spleenu i skłonności do samobójstwa, w ponurych, wilgotnych podziemiach, gnieździ się — posępne usposobienie, skryta złośliwość, przymuszona uległość i zgubna namiętność do pijaństwa, w którem człowiek spodziewa się choć na chwilę utopić swe troski.

Nie podobna nam tu przemilczeć również faktu, że niższe zwierzęta i rośliny nie lubią światła i szybko mnożą się w ciemności. Wymoczki unikają światła, ocienione źródła i mętna woda, są dla nich najdogodniejsze do płodzenia się i rozwijania; pleśń i zgniłe grzyby, rosną tylko w ciemnych miejscach. W źle oświeconych browarach, zdarzają się np. wypadki, tak zwanej „dzikiej fermentacyi,“ której zapobiedz nie potrafią niekiedy nawet doświadczeni piwowarzy, i która pochodzi z przypadkowego domieszania się do piwa, nasion rosnącej na ścianach pleśni. Ażeby usunąć to szkodliwe zjawisko, zaczęto w ostatnich czasach budować browary ze szklanemi dachami i z możebnie dobrem przewietrzaniem,—i cóż się okazało? Oto światło i czyste powietrze niszczą pleśń i zgniłe grzyby. Nic dziwnego, że tym ostatnim dogodnie jest rosnąć także w zaciśnionem powietrzu ciemnych mieszkań podziemnych i psuć tam odzież, sprzęty i zdrowie ludzkie.

Ze wszystkiego więc, cośmy wyżej powiedzieli, nie trudno odgadnąć, jakie środki mogą uczynić mieszkania podziemne nieszkodliwemi dla zdrowia: oto zewnętrzne rowy i duże okna, dające przystęp powietrzu i światłu.

W końcu dodamy jeszcze, że angielskie prawodawstwo, aby zapobiedz zgubnemu wpływowi mieszkań podziemnych na zdrowie przebywającej w nich ludności, uznało za konieczne wydać względem nich odpowiednie przepisy (Act for promoting the public health, z dnia 31 sierpnia 1848 r. i „Suppl. Acts“ z 1849 i 1850 r.) z których przytoczymy następujące, godne uwagi i zastosowania, wszędzie, gdzie istnieją podobnego rodzaju mieszkania: „Każda piwnica i wogóle każde podziemie, gdzie człowiek przepędza noce, uważa się za mieszkanie, i dla tego: 1) powinno mieć ono od podłogi do sufitu, przynajmniej siedem stóp (stopa angielska równa jest polskiej) wysokości; 2) sufit, powinien znajdować się przynajmniej na trzy stopy wyżej poziomu najbliższej ulicy; 3) dom, w którym znajdują się mieszkania podziemne, powinien być otoczony rowem, szerokim najmniej na $1^{1}/_{2}$ stopy i głębokim najmniej na $4^{1}/_{2}$ stopy,—tym sposobem, dno rowu ma być przynajmniej na 6 cali niżej poziomu owych mieszkań, w celu, ażeby mury podziemia nigdzie nie stykały się bezpośrednio z ziemią; 4) rów ten powinien być zaopatrzony w odstępy, głębokie nie mniej na jedną stopę, niżej podłogi mieszkań podziemnych i w schodki odległe od murów domu, nie bliżej na sześć cali. Prócz tego, mieszkania podziemne powinny posiadać: 5) dobre miejsca ustępowe i ścieki; 6) oddzielne piece i oddzielne dymniki; 7) w górnej części powinny mieć okno z otworem przynajmniej na 9 stóp kw., w tylnej—drugie okno, nie mniejsze od 4 stóp kw., łatwo otwierające się i nie zasłonięte wspomnionemi schodkami. Za każdą dobę zamieszkania w podziemiach, nie odpowiadających powyższym warunkom, właściciel domu zapłaci 20 szylingów (przeszło 6 rs.) kary.

Berlińskie „Towarzystwo statystyki lekarskiej“ ustanowiło prawie takież same przepisy, wymagając między innemi, ażeby mieszkanie podziemne miało podłogę nie mniejszą od 144 stóp kw. — wysokość jego dochodziła najmniej 8 stóp—i żeby ono posiadało dobre przewietrzanie (Behrend Ver handlungen, Erl. 1845, I, 1).

U nas, nie wiemy, czy istnieją jakie przepisy co do mieszkań podziemnych, możeby te, dla dobra ogółu wskazał, który z pp. budowniczych za pośrednictwem niniejszego pisma.

SYN PANA MARKA.

SZKIC Z ŻYCIA WIEJSKIEGO.

przez

Klemensa Junoszę.

(Dalszy ciąg).

VII.

Zimowe wieczory upływały jednostajnie i cicho, czasem tylko w święto gość się jaki trafił i nowości ze świata przywiózł, ale pani Markowa nie bardzo chętnie tym nowościom użyczała ucha, bo dusza jej była daleko, przy Czesiu.

Czesio zaś był tak niewdzięczny, że znaku życia o sobie nie dawał, a człowiek posyłany co tydzień na pocztę, zawsze z próżnemi powracał rękami.

Tak upłynęło całe dwa miesiące. Nareszcie jednego dnia upragniony list, leżał na stole przed matką, która drżącemi ze wzruszenia rękami rozrywała kopertę, aby jak najrychlej drogą zawartość tego listu przeczytać.

W miarę jednak czytania twarz pani Markowej przybierała wyraz coraz smutniejszy, nareszcie, kiedy doszła do końca, wybuchnęła głośnym płaczem.

— Mój Boże, mówiła, zawsze miałam jakieś przeczucie, żeby go tam nieoddawać...

Usłyszawszy płacz żony, pan Marek wszedł do pokoju.

— Co to jest? zapytał.

— Patrz nieszczęśliwy ojcze, czytaj co oni tam z naszem dzieckiem wyrabiają.

Pan Marek wziął list i czytał go w milczeniu po chwili zaczął uspakajać wzruszoną matkę.

— Ależ moja droga, cóż mu złego robią?

— Jak to więc nie widzisz, że to słabe, delikatne dziecko, musi wstawać do dnia...

— Przecież ja sam do dnia wstaję, a jednak jestem dzięki Bogu zdrów...

—Ty jesteś stary, przyzwyczajony, wreszcie podoba ci się tak robić, jesteś u siebie w domu.

— No, rzekł pan Marek, toć to jeszcze nie takie męki, wreszcie kto rano wstaje, temu pan Bóg daje...

— Dziecko nie ma godziny odpoczynku...

Pan Marek zaczynał się niecierpliwić.

— Młody jest odrzekł, niech pracuje, będzie miał swój kawałek chleba to odpocznie.

— Człowieku, ty serca chyba nie masz, czy nieczytałeś na własne oczy, że go ten dyrektor z góry traktuje.

— Bardzo dobrze niech słucha za młodu, będą go na starość słuchali.

— I ty to mówisz, ty! ty! ty! wołała pani, ja od ciebie to słyszę, nie, to być nie może, mnie słuch myli.—Więc ty go myślisz tam zostawić na pastwę tym niemcom, którzy nie mają względu na dziecko, na jego delikatne zdrowie, na dobre urodzenie, ty to mówisz? i ty myślisz zapewne trzymać go dłużej w tej niewoli. Chyba mnieby tutaj zabrakło, nigdy na to niepozwolę i proszę cię stanowczo, żebyś we dwadzieścia cztery godzin posłał po niego konie, i żebyś mi go tutaj za tydzień sprowadził. Do domu żebyś go sprowadził, wyraźnie ci to mówię. Dobranoc!

I z temi słowy pani Markowa trzasnęła drzwiami tak silnie, że aż się wszystkie szyby zatrzęsły i zniknęła w swoim pokoju, aby tam puścić wodzę łzom i ulżyć zbolałemu sercu.

Saphir powiada: *Selbst ein häusliches Gewitter ist angenehm, denn das Gewitter erquickt die Natur.* Burza ożywia naturę, a przecież domowa burza jest także burzą. Saphir kreśli piękny obrazek w którym zachwyca się urokiem piorunującej żony i męża olśnionego błyskawicami jej gniewu, cieszy się takiem ożywieniem natury i dodaje *aber es gehört eine gezunde Natur dazu!*

Pani Markowa, jak to szanowny czytelnik zapewne zauważyć raczył, mogła się zaliczyć do „natur bardzo zdrowych,“ niewiasta ta, przyzwyczajona do wydawania rozkazów i do biernego posłuszeństwa jakie w każdej okoliczności znajdowała w swoim małżonku, nie wyobrażała sobie, aby mogła kiedykolwiek nie wykonać tego co postanowiła.

I teraz wyszedłszy do swego pokoju była pewną, że rozkazy jej natychmiast zostaną spełnione, była najmocniej przekonaną, że za tydzień utuli na swej piersi głowę pierworodka, tego nieszczęśliwego, prześladowanego i przeciążonego pracą dziecięcia.

Gdyby jednak żona mogła widzieć myśli swego męża, to pani Markowa zapłakała by podwójnie.

Pan Marek został w pokoju olśniony błyskawicą gniewu swej małżonki, ale po chwili przyszedł do siebie i spojrzawszy w stronę gabinetu pani Chojnowskiej, uśmiechnął się nader dwuznacznie i powiedział półgłosem:

— Zobaczymy.

Dla czego tak powiedział. Żeby to wyjaśnić należycie, zastanówmy się chwilkę nad usposobieniem pewnych bardzo zacnych i miłych osobników, zwanych pospolicie pantoflami.

Wiadomo każdemu, że honorowy ten tytuł zdobi zawsze głowę tych mężów, którzy w domowem pożyciu ulegają ślepo żonom swoim, którzy przyzwyczaiwszy się do uległości, biernego posłuszeństwa, tracą wszelką samodzielność i we wszystkiem do woli pań swoich stosują się. Dla pewnych usposobień i charakterów, miłą i bardzo dogodną nawet rzeczą jest być pantoflem, uwalnia to od myślenia i daje pewien wypoczynek dla mózgu, odsuwa na drugi plan samodzielność, i przez to daje łaskawą rekracyę woli, uwalnia od debatów i sporów, znosi kwestye, i czyni człowieka biernym wykonawcą rozkazów swojej towarzyszki.

Że podobna pozycya człowieka w życiu domowem, jest przyjętą na ucywilizowanym świecie, o tem wie bardzo dobrze każdy, kto w życiu swojem spotkał tylko trzy małżeństwa, bo w takim razie musiał spotkać dwóch mężów pantofli. Że podobna pozycya nie przeszkadza mężowi być zacnym i pożytecznym społeczeństwa członkiem, tego dowodzi historya, z której widzimy, że niejeden wysoki dygnitarz, uczony, a nawet srogi wojownik w zaciszu domowem, był także nie mniej znakomitym pantoflem. Zresztą żadne prawo w Europie określające wzajemne stosunki męża i żony nie zastrzega pierwszemu, aby nie był podległym woli żony, a prawo kanoniczne wymagające od kobiety ślubu posłuszeństwa dla męża, nie żąda od mężczyzny ślubu nieposłuszeństwa dla żony.

Z tego cośmy powiedzieli dadzą się wyprowadzić dwa wnioski, a mianowicie, że być pantoflem nie jest ani nadto oryginalną, ani zbyt upokarzającą rzeczą dla męża, a w każdym razie bardzo wygodną dla żony, osobliwie zaś dla takiej, która jak powiada Saphir, ma zdrową naturę.

Tylko jest jedna okoliczność, ta mianowicie że każdy człowiek ma swoją słabą stronę. W mężach pantoflach ta słaba strona nie daje się podciągnąć pod ogólne reguły pantoflostwa. Mąż mieszczanin, cichy baranek w domu, jest głośnym i hałaśliwym przy kufelku na bawaryi. Rzemieślnik pantofel, idzie zawsze za wolą pani majstrowej, ale ekscypuje sobie panowanie absolutne w warsztacie; jaki, dajmy na to radca, w domu słucha rad małżonki, ale nie pozwoli nikomu wtrącić się do swoich zatrudnień poza domowych.

Taką słabą, a właściwiej powiedziawszy mocną stroną w usposobieniu i naturze pana Chojnowskiego było gospodarstwo i kasa. Tutaj czuł się prawdziwym mężczyzną, i biada temu ktoby chciał nieproszony wtrącić swoje trzy grosze. Nawet żonie umiałby poczciwy starowina verba veritatis z właściwem ma się rozumieć uszanowaniem, powiedzieć.

A powrót syna z cukrowni miał bezpośredni związek z kasą. Pan Marek zapłacił za naukę, a że był oszczędnym i znał wartość ciężko zapracowanego grosza, wiec też nie chciał wyrzucać go na darmo. Zresztą, mając jeszcze dzieci, nie chciał ich ukrzywdzać dla jednego, a przytem pomimo swojej potulności i uległości dla żony, miał dosyć trafne na życie poglądy, i chociaż nie bawił się w szumną frazeologyą, wiedział jednak w czem zawiera się esencya dobrobytu człowieka.

Długo dumał pan Marek, chodził po pokoju i puszczał kłęby dymu z króciuchnej fajeczki, od czasu do czasu pocierał czoło rękami, nareszcie splunął, i głośno sam do siebie powiedział.

— Ani myślę, niech siedzi, niech pracuje, ja pieniędzy nie robię i napróżno ich wyrzucać nie myślę.

(D. c. n.)

ROZMAITOSCI.

— Parę dni temu pisma doniosły o **masach pyłu pomeksowego**, który w postaci popiołu spadł wraz z deszczem w północnej Szwecyi i Norwegii, przykrywszy dość grubą warstwą powierzchnię ziemi. Uczeni na tej podstawie przypuszczali nowy wybuch Hekli— dziś przypuszczenie to zostało stwierdzonem, albowiem ostanie depesze z wyspy Islandyi, nadeszłe do Kopenhagi, donoszą o ogromnych wybuchach na tej wyspie, połączonych z silnem trzęsieniem ziemi. Wiatr przeniósł na ląd stały masy wyrzucone z łona wulkanów, które zmieszane wraz z parą wodną spadły w północnej Norwegii i Swecyi.

— Księgarnia Sajfarta i Czajkowskiego we Lwowie wydaje **„Antologją poetów Polskich“** ozdobioną illustracjami Wojciecha Grabowskiego. Będzie to zbiór poezyi, uwydatniających piękniejsze utwory naszych znakomitszych poetów, zacząwszy od Jana Kochanowskiego, aż do naszych czasów. Na czele umieszczoną będzie pieśń: „Boga Rodzica.“

— Osiadły we Lwowie były artysta dramatyczny Warszawskiej sceny, pan Józef Rychter, stara się o uzyskanie funduszów na założenie **szkoły dramatycznej**. Jeżeli je uzyska i zamiar swój doprowadzi do skutku, to wnosząc z talentu pana Rychtera jako artysty, możemy rokować szkole dramatycznej wielką przyszłość.

— W dniu 11 Kwietnia zgorzał w Kamieńcu Podolskim budynek mieszczący w sobie **teatr.** Pożar powstał z przewrócenia lampy od której zajęły się dekoracye.

— W Berlinie wystawiono w przeszłym tygodniu wielką operę Rubinsztejna: **„Machabeusze.“** Publiczność przyjęła to dzieło z wielkim entuzyazmem, na jaki utwór znakomitego kompozytora, według zdania krytyki zasługuje. Charakter kompozycyi zbliżonym jest wielce do rodzaju kompozycyi Wagnera, chociaż Rubinsztejn przewyższa go pod względem twórczości, zbliżając się pod tym względem do Schuberta Webera i Szumana. Podziwiają bardzo oryginalny rytm wschodni, utrzymany w całej operze. Cesarz niemiecki po pierwszem przedstawieniu, przesłał Rubinsztejnowi Order Korony III klasy.

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr. 57. Дозволено Цензурою. Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**

DODATEK do Nr. 31-go „OGNISKA DOMOWEGO“.

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

AMELIĄ B. EDWARDS,

z angielskiego tłómaczona.

Tom pierwszy.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 30).

Taką była Klaudya Hardwicke, którą Temple Debenham ujrzał przed sobą, kiedy się odwrócił na odgłos słów przez nią wymówionych.

Ubrana była w suknię z aksamitu jasno popielatego, miękką i mieniącą się jak wnętrze muszli, z ciężkiemi białemi koronkami przy szyi i rękawach. Brylantowa gwiazda błyszczała we włosach kasztanowatych, gęstych, kędzierzawych, z odcieniem złotawym; w ręku trzymała kosztowny wachlarz z karmazynowych piór, wschodniego pochodzenia. Brylantowa gwiazda była jedynym jej klejnotem, wachlarz jedynym przedmiotem żywiej odbijającym w całym ubraniu. Taki strój byłby bardzo niekorzystny dla niejednej kobiety, ale dla Klaudyi Hardwicke nie było niekorzystnych kolorów, bo sama była zupełnie bezbarwna, jak marmur, ożywiony ciepłem życia. To wszystko i wiele innych szczegółów, Debenhem objął jednym rzutem oka: tę bladą, dumną piękność, zaledwie ukryty wyraz zmęczenia i znudzenia, głos na pół pogardliwy, wszystko zauważył i zachował w pamięci.

— Czas już żebyśmy usłyszeli trochę muzyki. Gdzież jest ta doskonałość wysławiana przez Arczybalda?

Takie były słowa, wymówione cichym i dzwięcznym głosem, na które się odwrócił, ale w głosie i w słowach było coś, co mu się nie podobało.

— Oto Arczy, prwiedział pan Hardwicke, podając uprzejmie rękę swemu krewnemu, i pan Debenham, którego miałem już przyjemność poznać.

Organista się ukłonił.

— Moja siostra właśnie się o pana pytała, panie Debenham, mówił dalej kupiec z najsłodszym uśmiechem. Miło byłoby naszym gościom usłyszeć trochę muzyki. Znajdziesz pan fortepian w środkowym pokoju.

— Dużo słyszeliśmy o talencie pana Debenhama, dodała siostra.

Ale te słowa były wymówione z tą obojętnością, odbierającą najuprzejmiejszym wyrazom, cały ich wartość.

Organista znów się ukłonił, i tym razem tak nisko, że tylko powierzchowny badacz mógł wziąć tak przesadne oznaki uwielbienia za rzeczywiste uszanowanie.

— Jestto prawdziwe nieszczęście być przechwalonym, powiedział. Zdanie pana Blyth powinnoby służyć za miarę jego przyjaźni, ale nie mojej zasługi.

Panna Hardwicke podniosła wolno i dumnie głowę, chcąc obejrzeć płatnego artystę, który śmiał okazać, że umiał ocenić prawdziwą wartość jej słów. On także patrzał na nią, równie dumnie i niedbale. Słowa nie wyrzekli— ale doskonale się zrozumieli. Gdy ona mówiła: — Raczyłam panem się opiekować; jestto łaska, której powinieneś w milczeniu się poddać; on równocześnie odpowiadał:— Nie uznaję w pani tego prawa, i nie myślę mu ulegać.

Trwało to tylko chwilę. Panna Hardwicke spojrzała na niego, i przeszła dalej z zimną obojętnością. Pan Hardwicke zajęty już inną rozmową, nic nie widział, ale Arczybald Blyth wszystko zauważył z prawdziwą trwogą.

— Chodź grać, Debenhamie, powiedział niespokojnie. Lepiej to będzie, niż mówić nie potrzebnie.

I kiedy zmierzali do środkowego pokoju, dodał: — Chaiałbym, żebyś ich w podziw wprawił.

Trudno mu było nieroztropniej się odezwać. Czuły, drażliwy, łatwo ulegający wpływom swego otoczenia, Temple Debenham był właśnie jednym z tych ludzi którzy nie mogą nic uczynić na rozkaz. Podobne słowa byłyby w każdym razie obudziły w nim wstręt do słuchaczy, ale w tej nieszczęsnej chwili natchnęły go prawdziwą ku nim nienawiścią. Spojrzał na tłum, który obowiązkiem jego było zabawić, i pomyślał, że wolałby grać przed wyborowem towarzystwem sów i kruków. Czuł, że niebyło ani jednego uczucia wspólnego pomiędzy niemi i nim. Musiał grać, zobowiązał się do tego, ale nie miał obowiązku im się podobać.

— W podziw wprawić! powtórzył. O tak! wprawię ich w podziw.

I tak uczynił. Zagrał preludyum i fugę na fortepian dawnego swego nauczyciela, profesora Schwartz z akademii w Zollenstrasse, utwór cudny w swoim rodzaju, będący arcydziełem nauki muzycznej, najeżony trudnościami i wymagający nadzwyczajnej biegłości w wykonaniu. Grał nad podziw dobrze, isłuchaczy wprowadził w prawdziwe zdumienie. Przez pierwsze dwie minuty słuchali w milczeniu, potem niespokojność ich ogarnęła, zaczeli szeptać, i nim drugie dwie minuty upłynęły, głośne szepty zagłuszyły prawie fortepian.

Arczy był w rozpaczy.

— Mój kochany, zawołał gdy fortepian nareszcie zamilkł, to najokropniejsza rzecz jaką kiedykolwiek słyszałem. Jak *mogłeś* grać coś podobnego?

— Zrobiłem to naumyślnie, powiedział Debenham.

— Ale się to nikomu nie podobało.

— Czy pewny tego jesteś?

— Patrzałem na nich, i wydawali mi się....

— Znudzeni?

— No tak; śmiertelnie znudzeni.

— Chciałem ich właśnie śmiertelnie znudzić, odpowiedział organista z okrutnem zadawoleniem. Z radością słyszę, że się znudzili. Mam zamiar znowu ich znudzić; i żałuje tylko, że muszę ich karmić podobnemi klejnotami, żeby ich coraz lepiej nudzić.

— Nie nazywasz przecież tego kawałka klejnotem? powiedział Arczy.

— Owszem, jestto klejnot drogocenny, perła ponad perłami, dzieło niezwykłego natchnienia. Nie ma teraz na świecie człowieka któryby mógł coś podobnego napisać, oprócz Schwartza z Zollenstrasse.

— W takim razie, rzekł Arczy, pocieszajmy się nadzieją że Schwartz z Zollenstrasse niedługo do grobu ojców zostanie złożony, i że nie pozostawi naśladowców. Dosyć jednego takiego arcydzieła na świecie.

— Usłyszycie jednak zaraz drugie.

Ale panna Hardwicke była zanadto doświadczoną gospodynią, żeby na podobną rzecz zezwolić. Znała się dosyć na niemieckiej muzyce, żeby ocenić doskonałość wykonania, ale wiedziała także, iż dzieła tego rodzaju były zupełnie niezastosowane do okoliczności.

— Jestto bardzo mądre, powiedziała biorąc brata na stronę, ale dla ogółu niezrozumiałe. Drugi podobny kawałek zepsułby cały wieczór. Powiedz mu żeby zagrał jaki utwór Thalberga.

Pan Hardwicke, który we wszystkiem słuchał siostry, poszedł do fortepianu i prosił pana Debenhama, czyby nie zechciał zagrać której z fantazyi Thalberga.

— Tak mało osób, mówił tłómacząc się, umie się wznieść do wysokości muzyki takiej, jaką pan teraz grałeś. Czy mogę się zapytać, panie Debenham, czy ta.... ta sonata.... Nie wiem czy dobrze się wyrażam, nazywając to sonatą?

— Jestto fuga, odpowiedział sztywnie organista.

— Właśnie, fuga. Mogę się więc zapytać czy ta fuga jest jedną z pańskich kompozycyi?

— Jest ona dziełem profesora Schwartza z Zollenstrasse am Main, rzekł Debenham, najuczeńszego z teraźniejszych artystów, i jednego z kilku jeszcze żyjących uczniów Bethowena.

— Profesor Schwartz! Nie przypominam sobie tego nazwiska.

— Bardzo być może. Jest on wcale nieznany w tym kraju.

— Dlaczegóż to?

— Może dlatego, że w Anglii smak nie jest dostatecznie wykształcony.

— Właśnie, właśnie, niedostępne dla ogółu. Będziesz więc teraz łaskaw, panie Debenham, zagrać nam co Thalberga.

Artysta musiał się poddać, i gości pana Hardwicke ominął dalszy ciąg obiecanych pereł. Grał Thalberga i wszyscy słuchali; potem świetne waryacye na temat śpiewów ludowych, i nietylko że go słuchano z zajęciem, ale nawet przyklaskiwano grze jego, i Temple Debenham, pomimowoli, doznał rzeczywistego powodzenia.

Trochę po północy wyszedł cichaczem z salonów, i już był na dole kiedy go w sieni zatrzymał Arczybald Blyth.

— Nie odchodzisz przecie jeszcze! zawołał.

— Dlaczego nie? Już trzy razy grałem.

— Ale kolacya będzie o wpół do pierwszej.

Organista potrząsnął głową.

— Spodziewam się wtedy być już blisko domu.

— Cóż to za myśl! Nie wiesz od czego uciekasz. Kolacye u Hardwicka są prawdziwie królewskie. Dajże się namówić i zostań, jak przystoi.

— Nie zostałbym nawet u Lukullusa.

— Ale się nie pożegnałeś?

— Nie, tobie to polecam uczynić za mnie. Wywiąż się gładko z tego zadania.

— Czy cię kto obraził?

— Nie koniecznie.

— Czy się nie zabawiłeś?

— Nie koniecznie.

— Więc dlaczego. Co się stało? Co ci się niepodobało?

— Mój drogi Pyladzie, powiedział Debenham zabierając się do wyjścia. Opatrzność obdarzyła cię umysłem badawczym, a umysł badawczy jest oznaką przenikliwego pojęcia. Mądrze wykształcone, te zalety będą ci zasługą i pociechą po wszystkie dni twojego ziemskiego żywota. Dobranoc; przyjmij moje błogosławieństwo.

Zapiąwszy płaszcz pod szyję, i schowawszy nuty w jednę z licznych kieszeni w które był zaopatrzony, uśmiechnął się wesoło do przyjaciela, zeszedł szybko po marmurowych schodach i zostawiając poza sobą jasno oświetlony pałac kupca, zniknął w cieniach parku.

Arczy zatrzymał się przez chwilę w sieni, wahając się czy pójść za przyjacielem, czy zostać na kolacyi, i przysłuchiwał się oddala-

jącym się krokom Debenhama. Nareszcie łakomsto wzięło górę nad przyjaźnią i poszedł na górę.

ROZDZIAŁ VII.

Mieszkanie w Canonbury

Debenham prędko minął ciemne ulice parku, i zostawiając za sobą miasto, wszedł w dzielnice świeżo zabudowane i zaludnione, stanowiące szereg przedmieść, i niedługo znalazł się w Canonbury, wśród ogrodów warzywnych, przed domem, gdzie w jednem oknie przyjazne światło zdawało się czekać na niego i witać go wesoło.

Ujrzawszy je, przyspieszył jeszcze kroku, przebiegł szybko ogródek znajdujący się przed domem, i otworzywszy drzwi, stanął w pokoju, nim ta, która go oczekiwała, miała czas poznać odgłos jego kroków na zwirowanej ścieżce.

— A, matko, zawołał z czułością, niedobra matko! Czy cię nie prosiłem żebyś się położyła?

I pocałował ją po niemięcku w oba policzki.

— Mój drogi byłabym tylko leżała nie mogąc spać, dopókibyś nie przyszedł. Czy jesteś zmęczony?

— Nie zmęczony, matko, tylko głodny. Miała tam być wielka kolacya, ale nie chciałem na niej zostać.

— Spodziewałam się tego, odpowiedziała pani Debenham, i kolacya czeka na ciebie. Cicho, nic nie mów, dopóki się nie posilisz.

I krzątając się koło niego z czułością matki przywiązanej, zabrała jego płaszcz, podając mu talerz i szklankę, i nie usiadła dopóki go nie widziała smacznie zajadającego.

— Czy to bardzo wspaniały dom? spytała potem.

— Tak, w mieszczańskim guście.

— A ludzie, których tam widziałeś?

— Czuć ich było funtami, szylingami i pensami.

Uśmiechnęła się, i stanąwszy za jego krzesłem, pogłaskała jego włosy.

— Czy był tam p. Blyth? zapytała.

— Naturalnie, w całym blasku elegancyi jaką lubi się przystrajać i zatopiony w swem uwielbieniu dla żon aldermanów.

— Biedny p. Blyth! Czy dużo było osób?

— Ze czterysta, wszyscy mieszkańcy City; mężczyźni, których cała wartość równa się posiadanym przez nich pieniądzom, a kobiety takie, jakiemi je uczyniła modniarka.

— Czy rozmawiałeś z kim?

— Dzięki Bogu nie! Słyszałem jak między sobą mówili, i to mi wystarczyło. Jeden przedmiot tylko ich zajmował: pieniądz, pieniądz, pieniądz! Święty Chryzostom nie był bardziej od nich złotousty.

— I nikogo znajomego nie widziałeś?

— Widziałem świętobliwego Choakesa, wyglądającego na grabarza umarłych.

— Czy ci nic nie mówił o twojej prośbie w której żądałeś miesięcznego urlopu?

— Nic mi nie mówił. Nie wiem nawet czy mnie widział, bo wpadał w rodzaj duchownego zadumania skoro tylko znalazłem się w jego sąsiedztwie.

— Jakże to już dawno pisałeś do niego?

— Dwa tygodnie blisko.

— I od tego czasu, chociaż co dzień cię widuje, nigdy o twoim liście nie wspomniał?

Młody człowiek ruszył ramionami i dalej kolacyą zajadał.

— Jest bardzo źle wychowany, powiedziała z żywością pani Debenham.

— Ależ, matko, nie mogę wymagać, żeby świętobliwy Choakes był dla mnie uprzejmy, odpowiedział syn z goryczą. Wiesz przecie, że jestem tylko organistą.

Lekki rumieniec okrył bladą i wychudłą twarz pani Debenham. Zdawało się, że chciała coś powiedzieć, ale się wstrzymała i usiadła z westchnieniem.

— Oglądałem dzisiaj mapę, powiedział młody człowiek po chwili, i przekonałem się że muszę odstąpić od zamiaru podróży w góry Szkockie. Za daleka to wycieczka, czasu. Droga tam i nazad zabrałaby połowę mego urlopu.

— Przecież jest kolej, rzekła pani Debenham, i z dziesięcioma funtami, które dzisiaj zarobiłeś.....

— Nie, nie, matko. Nie mamy tyle pieniędzy żeby niemi niepotrzebnie szafować, a zresztą pełno jest miejsc równie zajmujących, gdzie łatwiej się udać. Już prawie postanowiłem zwiedzić brzegi rzegi Wyei, jeżeli Arczy na to przystanie.

— Brzegi Wyei! powtórzyła pani Debenham, głosem cichym i drżącym.

— Tak; bardzo to łatwa przejażdżka. Moglibyśmy pojechać kawałek trzecią klasą z Londynu do Brystolu, potem piechoto i statkiem parowym do Chepstow, a stamtąd brzegiem rzeki do Ross. Niewiem nawet czy ta podróż nie więcej mi się podoba jak wycieczka do Szkocyi.

— Brzegi Wyei!

— Dlaczego nie, matko droga? Tak powtarzasz te słowa, jak gdybyś przeciwna była temu zamiarowi.

— O nie!

— Zdaje ci się, że powietrze szkockie więcej jest wzmacniające?

— Nie myślałam o tem.

— O czemże?

— O rodzinie z tamtych stron. Ale tu idzie o dobre użycie twoich wakacyi. Wyea prześlicznym krajem płynie.

— Byłaś tam, matko?

— Nie, nigdy nie byłam.

I znów pani Debenham głęboko westchnęła.

— Życie musi być bardzo tanie w tamtych stronach.

— Bez wątpienia.

— I nie tak daleko będę od ciebie, jak gdybym pojechał do Szkocyi.

— To prawda. Życzyłabym sobie tylko.....

— Żebyś i ty mogła ze mną pojechać. I ja bym też tego chciał, matko, z całego serca.

— Nie, nie to, mój drogi, bo wiem, że to jest niepodobnem. Ale życzyłabym sobie żebyś miał odpowiedniejszego towarzysza.

— Pierwsze dwa warunki niezbędne w towarzyszu pieszej wędrówki są: dobre nogi i dobry humor, powiedział Debenham uśmiechając się, a w trzech królestwach nie możnaby znaleść weselszego i wytrzymalszego chłopca od biednego Arczy.

— Jestem przekonana, że p. Blyth posiada wszystkie cnoty, odpowiedziała pani Debenham, ale jest pod wszelkiemi względami niższym od ciebie.

— Doprawdy, matko, tak nie jest. Jest daleko lepszym, łatwiejszym, skorszym do poświęcenia, jest.....

— Jest tem wszystkiem co powiedziałam, przerwała pani Debenham; posiada wszystkie cnoty, ale *nie jest* gentlemanem, i towarzystwo jego jest niestosownem dla mego syna.

Młody człowiek odsunął talerz i wstał niecierpliwie.

— Ależ matko, zawołał, jakiegoż lepszego towarzystwa mam się spodziewać? Mój ojciec, jak mi mówiłaś, był gentlemanem; ale czemże ja jestem? Nieznanym artystą, szczęśliwy, kiedy mogę zarobić na biedne życie ucząc dzieci kupców. Na co więc spoglądać poza siebie? Na co chcieć opierać nędzną teraźniejszość na szczątkach świetniejszej przeszłości? Niechaj ta przeszłość umarła zachowa swych umarłych. Lepiej, tysiąc razy lepiej byłoby dla mnie, gdybym nie był odziedziczył dumy niestosownej dla mego stanowiska. Oileżbym mniej cierpiał! Wieleż udręczeń i upokorzeń zaoszczędziłbym sobie!

Pani Debenham przycisnęła rękę de serca, z wyrazem boleści.

— O, Temple! zawołała, cierpisz, a ja o tem nie wiem!

Nachylił się prędko i pocałował ją w czoło. Wstyd mu było tych słów niecierpliwych, i byłby wiele dał, żeby ich nie wymówić a przynajmniej żeby zatrzeć ich wspomnienie.

— Muszę czasem znosić małoznaczącą przykrość, powiedział, ale cóż z tego? W walce życia trzeba wzajemnie dawać i odbierać razy.

— Gdybym na to mogła poradzić, nie odbierałbyś ich ani zadawał, rzekła matka.

— Ale takie przejścia bywają dobre dla moralnego zdrowia. Źle robię pozwalając żeby mnie takie drobnostki drażniły, a gorzej, że o tem mówię.

— Ale cóż to są za drobnostki?

— Nie ma o czem mówić, cienie, fraszki lżejsze od powietrza, drobne uchybienia, wymagania, wszystko rzeczy ulatniające się gdy się je chce pochwycić.

— Mój biedny chłopcze!

— Nie, nie trzeba mnie żałować. Stałbym się nieznośnym, gdyby moja miłość własna nie odbierała czasem nauki.

— Kiedy byłeś dzieckiem, nie pozwalałam wiatrom niebieskim dotknąć cię za ostro. Wtedy mogłam nad tobą czuwać. Teraz bezsilną jestem.

I gdy to mówiła, łzy napełniły oczy pani Debenham.

Młody człowiek nachylił się i wziął jej rękę w swoje.

— Będę siebie nienawidził, jeżeli tak będziesz mówić, matko, powiedział. Nie jesteś bezsilną; lepiej niż kiedy kolwiek możesz mnie wspomagać i pocieszać. Czemże byłbym gdyby nie ty? Cyż nie przez ciebie i dla ciebie stałem się tem czem jestem? Gdyby nie ty, czy byłbym pracował jak pracowałem. Gdyby nie ty, czy pragnąłbym bogactw i marzył o sławie? Bezsilna!... Ale kiedy będę wielkim człowiekiem, tobie to zawdzięczać będę, matko.

Matka się uśmiechnęła; była pocieszoną ale nie uspokojoną.

— A tymczasem odpowiedziała, nawet przyszli wielcy ludzie są także śmiertelnikami. Muszą spać jak inni. Nie mogą cały dzień pracować, i czuwać całą noc. Już druga bije.

— Od dwóch godzin powinnabyć być w łóżku, matko.

— A ty musisz być u Ś-tej Hildegardy o ósmej.

— Ja tak mało potrzebuję snu, powiedział Debenham.

Zapalił świecę matce, otworzył drzwi i poszedł za nią na górę. Przy wejściu do jej pokoju zatrzymał się, żeby jej życzyć dobrej nocy.

— Nie powiedziałeś mi jeszcze, zapytała, czy panna Hardwicke rzeczywiście jest tak piękna.

— Tak, odpowiedział chłodno, jest bardzo piękna.

Pocałował ją i szybko pobiegł do swego pokoiku na poddaszu.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr. 57.

Дозволено Цензурою.